

# TRADYCYJNA RYBA —



K. I. Galczyński Copyright by „API” — „Czytelnik”

## Gwiazda i gołąb

Świat nasz, siostrze i bracie,  
po dwóch znakach poznacie:  
po gołębiu i gwiazdzie:

gwiazda ludom przewodzi,  
gołąb pokój urodzi —  
w tych dwóch znakach jesteście.

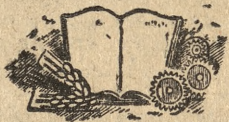


Nasz świat, bracie i siostrze,  
zbudowaliśmy mocno.  
Myśl dźwięczy w naszej strunie.

Nam świeci słońce czasu.  
Jak za strzałką kompasu  
gołąb ku gwiazdzie frunie.

Pokój, drodzy koledzy,  
pokój to nie jest prezent,  
ani Noego arka;

ten świat ludy przemienia  
blekitem i czerwienią;  
a czerwień znaczy walka.



U nas wiedzy źródło żywy;  
nasze świat kręca tryby;  
tryb o tryb się zająbia;

lud z ludem jak brat z bratem  
i światło płynie światem  
od gwiazdy i gołębia.

Dobrym idziemy tropem;  
z nami Dante i Szopen;  
i wszystko nam się uda.

Mamy Majakowskiego;  
z nami w jednym szeregu  
Erenburg i Neruda

Na Warszawskim Kongresie  
gołąb mówił o gwiazdzie:  
gwiazda pokój obroni;

w Narodowym Teatrze  
jak chór grzmieł pieśniarze,  
chór z IX Symfonii.

Poezja to nie motyl.  
Poezja to młot złoty  
i kowadło tak samo.

Poezja to głos ziemi.  
Jak stal ją hartujemy  
kryształami wolframu.

Dzieci patrzą do kuźni;  
przyjdzie czas, będą później  
też bić w kowadło czasu:

żeby śpiewnie! i lepiej!  
Razem z gwiazdą, Z gołębiem.  
W szczęście. Podług kompasu.

Ciemna noc antyludzi  
pierzchnie. Gołąbek rzuci  
uszędzie jedną gałązkę —

w mrok; w barbarzyńców gwałty  
Huczy ziemia jak Butyk  
wielką, waleczną piosnką:

PAZ — od Donu po Rodan,  
Friede — ludom i lądom,  
MIR — oceanom, krajom.

Stoi warta stalowa  
i czuwa. I ty czuwać.  
Gwiazda i gołąb czuwają.



Tradycyjnym polskim przysmakiem wigilijnym są dania z karpia. I to w najrozmaitszej postaci! Szczególnie w zachodnich połaciach naszego kraju, niezwykle popularnym jest karp w szarym sosie, względnie — jak kto woli — w sosie piernikowym. Z historii naszych obyczajów znane są powszechnie dania z ryb, między innymi słuchanie popularnych w naszych wodach, jak jesiotra, łososia oraz szczupaka, karpia, leszcza i lina. W czasach obecnych najwięcej popularna ryba oprócz szczupaka — jest karp (naturalnie z ryb słodkowodnych!). Sekret smaczności przyrządzenia karpia wigilijnego jest broskwiwie przechowywany i przekazywany z matki na córkę. Nie rzadko zaszczyt doprawienia karpia wigilijnego — przypada babuni. Najsmaczniejszą częścią dania karpiego w tym zestawieniu jest sos słodki zawieszony, z dodatkiem piernika miodowego, często nawet aromatycznego wina. Pływają w nim rodzynki, migdały i jeszcze, jeszcze wiele innych tajemniczych przypraw, które jedynie wysubtelnione podniebienie zdoła wyzuczyć. Karp jako ryba, ceniona i znana była już w starożytności. Przypisywano mu legendarną

długowieczność i słusznie podkreślano jego wielką mądrość. Był on symbolem plenności i stąd karp poświęcony został bogini Venus. Z południa sprawdzili go mnisi, dokąd spłynął w okresie wczesno-lodowcowym wraz z topniejącymi lodami. Ojczyzną jego jest Azja i jej kaspijskie pogranicze z Europą, a głównym terenem obecnego jego występowania



naturalnego, są średnie i dolne biegi rzek wpadających do Morza Czarnego, Azowskiego oraz Arabskiego.

Poza tym obficie występuje w dorzeczu zlewiska Pacyfiku od Azji Mniejszej do Birmy. Jako znakomity obiekt sztucznej hodowli rozprzestrzeniony jest w całej Europie: od Francji, włoskiej Lombardii aż

po zachodnie ZSRR. U schyłku ub. stulecia przewieziony został do Stanów Zjednoczonych, gdzie silnie opanował rzekę Missisipi oraz rozmnożył się doskonale w Wielkich Jeziorach.

Karpia dzikiego — jako specjalny gatunek — nie spotyka się już zasadniczo w wodach polskich. Obecnie dziko żyjące okazy rzeczne i jeziorowe, są raczej zbiegami z licznych sztucznych gospodarstw stawowych, rozmieszczonych po całej Polsce. Karp hodowlany jak i w stanie dzikim dochodzi do olbrzymiej wielkości — nie rzadko długości przeszło 1 m, szerokości 60 cm i wagi przeszło 30 kg.

W hodowli stawowej, powstały liczne szczepy i odmiany karpia, wykazujące duże różnice w kształtach, zabarwieniu i w szacie łuskowej. Jedną z tych odmian, posiadająca szereg łusek wzdłuż szerokiej linii ciała, w partiach oskrzelowej i grzbietowej, jest określaną mianem „lustrzenia” czyli w języku potocznym, karpie królewskim. Karpie bezłuskowe, nazywane są nagimi, skórzanymi lub linowatymi. Karp dziki posiada całe ciało pokryte łuskami. Wielce cenionym — rów-

nież na rynkach zagranicznych — jest powszechnie znany typ karpia szerokogrzebietowego rasy hodowlanej polskiej. Karp jest rybą wszystkożerną z wyjątkiem ryb. Żeruje przeważnie na dnie, a stopień jego żarłoczności, rośnie w miarę ogrzewania się wody. Ku jesieni — w okresie oziębiania się wody, przestaje żerować, staje się ospałym i wręcz zapada w sen zimowy. Szybkość rocznego przyrostu karpia jest zarówno związana z ciepłotą środowiska wodnego, w którym przebywa, jak również od ilości zawartej w nim pokarmu. Pomniażym dalej od nas na południe, tym dłuższy jest okres ciepłej wegetacji, karp w południowych rejonach Europy rośnie w stopniu szybszym. Potwierdza ten fakt badania uczonych, szczególnie radzieckich (Borzenko) oraz praktyka hodowlana. Odmiana karpia polskiego posiada pod tym względem duże zalety i przykładowo biorąc, w okresie pierwszego roku życia (od maja do października) osiąga on wagę do 600 g, w drugim roku do 1500 g, w trzecim roku do 2500 g i więcej. Jak już wspomniano, karpie są bardzo plenne. Dowodem — że u wyrosniętego karpia rodzaju żeńskiego, można doliczyć się do 2 milionów ziarenek ikry. Niejedne z nich pozostają jednak bezpłodne i to już na całe życie. Wiedzieli już o tym starożytni a nawet



Arystoteles podnosi ten szczegół, uważając, że karp jałowy niema sobie równego, pod względem tłustości i smaku mięsa. Także w średniowieczu wiedzieli o tym uczeni i opiewali smak karpich „próżniaków”, przenosząc je ponad inne.

Karp niezależnie od niemasowego występowania w rzekach i jeziorach, jest podstawą racjonalnie prowadzonego gospodarstwa hodowlanego w Polsce, na powierzchni 65 000 ha sztucznie zalewanych. Mięso karpia stawowego jest soczyste i w miarę tłuste. Odlowione sztuki, przechowywane przez kilka miesięcy w zimochowach, podnoszą wartość spożywczą karpia, przez stracenie z niego zapachu mułu. Niezwykle ceniony w okresie zimy, odgrywa w naszej gospodarce rybnej bardzo poważną rolę.

Momentem świadczącym o wielkiej inteligencji karpia jest fakt, że w warunkach hodowli sztucznej, przyzwyczajają się one szybko do miejsca ich karmienia oraz do osoby karmiciela.

Niecodziennych emocji dostarczają łowy na karpia wędkarzem. Doświadczeni wędkarze uważają polowanie na karpia za jeden z najwznieściejszych wyczynów sportowych, wymagający niezwykłej cierpliwości, zręczności oraz siły fizycznej. Olbrzymia ryba — szczególnie dziko żyjące okazy w głębokich wykotach o głębokich rzekach i jeziorach (m. in. i Warty!) — chwyciwszy przynętę, ucieka z nią w głąbiny, by za chwilę uderzyć w górę, a targa kijem tak silnie, że często wciąga niedoświadczonych wędkarzy do wody. Wspaniałe ucieczki na szeroką wodę, wbijanie się w dno oraz stawianie oporu w poprzek ułożoną płaszczyzną ciała — to jedna z wielu sztuczek tej silnej a zarazem przebiegłej ryby. Sztuki dochodzące do kilkumastu kg wagi są niezadkim trofeum wytrawnego wędkarza, a chwile walki i poniesionego trudu w zmaganiu się z takim przeciwnikiem, należą do najpiękniejszych wrażeń sportowych i pozostawiają niezapomniane wrażenia.

### Nieco ekonomii politycznej

## Dlaczego kapitaliści nie potrafią planować?

Mister Brown, prezes — powiedzmy — rady kartelu stali w którymś z państw kapitalistycznych — niewątpliwie zdziwiłby się, gdybyśmy mu oznajmili, że trzustka znajdująca się pod jego duchowym przewodnictwem — prowadzi bezplanową gospodarkę. Przypuszczalnie zdziwiłoby się również wielu innych prezesów podobnych zyskowych instytucji.

Zdziwienie to w gruncie rzeczy nie posiadałoby jakichkolwiek słusznych podstaw, bo kapitaliści mimo wysiłków w tym kierunku nie potrafią planować. Rozpatrzmy to zagadnienie, tym bardziej, że może ono zaciekać nie tylko mister Brown.

### Zysk czy potrzeba narodu

Jak wiemy przedsiębiorstwa kapitalistyczne, monopole, trusty — opracowują takie czy inne plany gospodarczej działalności. Lecz cóż za wartość przedstawiają one? Przede wszystkim nie związane są ze sobą, nie skoordynowane, a więc oderwane od niezbędnych dla planowania dyrektyw ogólnych. Tym samym są sprzeczne ze sobą, niezgodne i w rezultacie w trakcie ich realizowania pogłębiają się tylko sprzeczności w kapitalistycznym gospodarstwie i prowadzą do bezplanowości, tym bardziej, że motorem tego działania staje się pogoń za zyskiem.

A planowanie gospodarce musi być przecież pełne, obejmować wszystkie dziedziny lub przynajmniej najważniejsze; poszczególne plany muszą być ze sobą skoordynowane — a wszystko obracać się winno wokół potrzeb narodu, a nie zysku.

### Ujarmione prawa

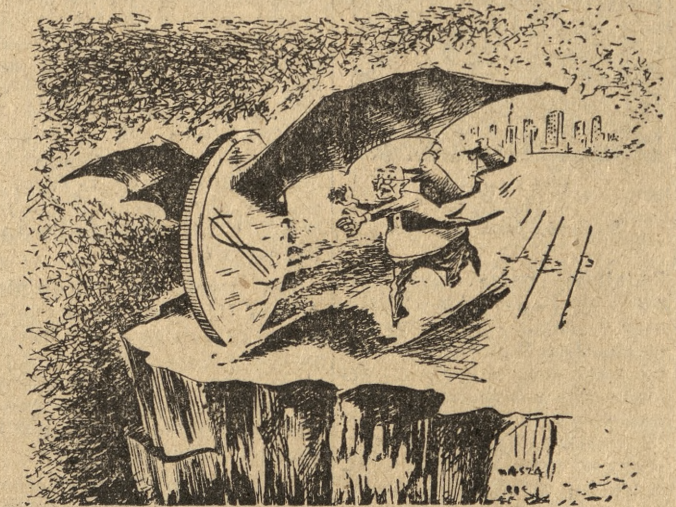
Takiego planowania w ustroju kapitalistycznym zaprowadzić nie można, bo w tym ustroju prawa ekonomiczne działają w sposób żywiołowy, są wypadkową tysięcy sprzecznych dążeń, życzeń i przewidywań. Przeciwnie dzieje się w ustroju socjalistycznym. Tam prawa gospodarce stanowią uświadomioną konieczność, a więc działają nie w sposób żywiołowy, lecz zgodny z wolą planujących.

Np. w Polsce występuje sprzeczność między rozwojem przemysłu i rolnictwa. W tym wypadku uświadomiona konieczność, jako prawo ekonomicz-

ne, nakazuje przyspieszenie rozwoju rolnictwa, aby zapewnić żywność ludności rozbudowujących się miast. A cel ten osiągnąć można jedynie na drodze mechanizacji rolnictwa i wprowadzenia kolektywnej pracy.

### A więc — bezplanowość

Lecz w jakich warunkach można opracowywać realne i jednolite plany gospodarcze? Dokonuje się tego tylko w wa-



runkach jednolitego gospodarstwa narodowego, wtedy gdy przynajmniej kluczowe gałęzie ekonomiki są uspołecznione. W przeciwnym wypadku dyrektywy planu nie będą wykonywane, a więc plan nie będzie realizowany.

Taki stan istnieje właśnie w ustroju kapitalistycznym w którym to, ze względu na prywatną własność środków produkcji, występuje sprzeczność między społecznym wytwarzaniem i prywatnym przywłaszczeniem rezultatów produkcji przez kapitalistów. A ta sprzeczność prowadzi do wzywania robotników, do walki klas, kryzysu gospodarczego kryzysu i bezplanowości.

### Przewidywanie koniunktur

Nie wyczerpaliśmy jednak istoty zagadnienia planowania. Bo np. można by zapytać — co to jest plan gospodarczy i planowanie?

W ustroju socjalistycznym plan oznacza określone dyrektywy w sprawach działania gospodarstwa — to akt woli społeczeństwa, oparty o wnioskowe badania naukowe; to program podchwytywany przez ma-

sy i przez nie realizowany i zarazem ściśle plan opracowany na podstawie potrzeb narodu. Planowanie zaś to realizowanie tego planu, to organizacja pracy i kontrola wykonania; samo zaś układanie planu to czynności początkowe planowania.

W ustroju kapitalistycznym plan i planowanie oznacza tylko przewidywanie koniunktury, to zamierzenia jednostek oparte na sprzecznych ze sobą chęciach przedsiębiorców nie-

zgodne z chaotyczną całością gospodarczą tego ustroju. W rezultacie występuje tam dezorganizacja i brak kontroli. Zostają więc usunięte najważniejsze przesłanki planowego działania.

### To jest planowanie

W kapitalizmie występuje najwyżej tzw. interwencjonizm, oznaczający próbę ratowania tej gospodarki, ale nie planowanie. Bo planowanie to przecież zorganizowane kierowanie społecznymi procesami produkcji, podziału, wymiany i spożycia. A to możliwe jest tylko wtedy, gdy władza kapitalistów jest obalona, gdy narzędzia i środki produkcji są uspołecznione, a w kraju gospodaruje lud. Bo tylko wówczas można wiedzieć:

co, kiedy i w jakiej ilości należy produkować; skąd, kiedy i ile zużyć na to środków finansowych; oraz jakimi środkami technicznymi, sposobami i surowcami osiągnąć można zamierzone cele.

Kwestia więc została możliwa do planowania. W kapitalizmie nie można planować.

T. PRZYTARSKI

Jot



# TRADYCJE REALIZMU W MALARSTWIE POLSKIM

Po raz pierwszy w dziejach malarstwa polskiego zorganizowana została w kraju wystawa, dająca w jasnej, przystępnej formie przegląd malarstwa realistycznego od XV do XIX wieku jako właściwego rozwoju sztuki narodowej. Wystawę zorganizował w Krakowie komitet organizacyjny I Kongresu Sztuki Polskiej jako ilustrację do obrad konferencyjnych.

## Zmierzch średniowiecza — świt humanizmu

Dlaczego za początek realizmu przyjęto wiek XV? Jest to okres w sztuce średniowiecza kiedy miasta nasze wznoszą na ślaczach i znaczeniu i usamodzielniają się.



ALEKSANDER GIERYMSKI  
(1849—1901)  
Luwr w nocy

Wzrost ekonomicznie mieszczaństwa przewidywa panujący niepodzielnie skostniały scholastyczny idealizm, popierany przez kościół i feudalne możnowładztwo. W dzieła o tematyce religijnej, niemal jedynie w sztuce średniowiecznej, wprowadza nową treść obyczajową i społeczną formą. Ścieranie się idealizmu i realizmu reprezentuje „Zdjęcie z Krzyża” z Chromanic i scena z modlitwy w „Ogrójcu” w polptyku augustyńskim. Oczywiście to, co dała wystawa krakowska nie jest jedynie w Polsce i w muzeach naszych moglibyśmy znaleźć więcej przykładów przełamania w XV wieku konwencjonalizmu w sztuce i odkrywania obiektywnie istniejącego człowieka.

Dziela późnego średniowiecza polskiego powstają w okresie zastrzążającej się walki mieszczaństwa ze szlachtą. Silny swój wyraz walka ta znalazła w twórczości Wita Stwosza w realizmie powszechnie znanego tryptyku Mariackiego i w tryptyku bodzentyńskiego (koło Kielc), dzieło mistrza Marcina Czarnego z 1508 r.

Wiek XVI przynosi zeświezczenie sztuki polskiej. Pojawia się malarstwo portretowe w związku z kultem indywidualności ludzkiej. Jest to okres utrwalenia się demokracji szlacheckiej i podjęcia ekonomicznych podstaw mieszczaństwa przez antymiejską, stanowiącą politykę szlachty. Powstają wtedy wizerunki wielmożów, jak np. portret Jana Konrada Mazowieckiego lub portret Anny Jagiellonki wskazujący realistycznie, śmiało całą brzydotę modelu. Jest to zresztą świetne studium psychologiczne.

## Megalomańskie zapędy „Jasnie Wielmożów”

Wiek XVI cechuje kolonizatorską penetrację na wschód magnaterii polskiej i orientację gustu, lubującego się w bogactwie form. Na portretach występuje bogactwo szat i biżuterii. Ekspozycja z pańskich folwarków i ożywione morskie kontakty z zachodem powodują napływ sztuki północnej o wyraźnej dekoracyjnym charakterze. Oddźwiękiem tego są portrety z początku XVII wieku. Portrety owego czasu mówią nam rów-

nież o próbach absolutyzowania władzy monarchicznej przez przenikanie stylu dworszczyzny Ludwika XIV. Widzimy to w portrecie Jana III Sobieskiego pędzla Triciusza i w portrecie Maryny Mniszchówny. Wiek XVIII stoi pod znakiem stanowczo narodowej megalomanii, kiedy mówi się o „świętości Królestwa Polskiego za sprawą boską zbudowanego”, a szlachta twierdzi, że „Polacy Scytwie jako najdawniejszy naród na świecie w prostej linii dziedziczą władzę polityczną nad światem”. W tej megalomańskiej atmosferze prądy postępowe z zagranicy nie przenikają do łbów szlacheckich, co sprowadza epokę saską będącą okresem największego upadku i rozprężenia politycznego.

Jakże wymowne są portrety z tych czasów! Dzięki modzie cddawania w portrecie drobniaczego podobieństwa dochowały się do naszych czasów typy pieniacy sejmowych i karzemnych opojów w całej ich realistycznej brutalności.

Pod koniec XVIII wieku nastają czasy Stanisława Augusta, pierwszego organizatora spraw artystycznych w Polsce. Obok malarstwa dworskiego (Bacclarelli) powstają obrazy realistyczne Wojniakowskiego.

## Realizm wieku XIX

Wiek XIX przynosi właściwy rozkwit sztuki polskiej. Zjawiają się wielkie nazwiska i coraz silniej zarysowuje się realizm na tle rozpowszechniającego się malarstwa rodzajowego. Twórczość Antoniego Brodowskiego realizuje najdobitniej program postępowej naówczas klasy odradzającego się mieszczaństwa polskiego.

Wzrost uprzemysłowienia kraju i narastanie kapitalizmu oraz uwłaszczenia chłopów



WIT STWOSZ  
(1440—1533)  
Środkowa część tryptyku

kształtują nasze malarstwo z połowy XIX wieku. Występuje największy z malarzy naszych Jan Matejko, który w pierwszej fazie swej twórczości legitymuje postępową swą postawę dzielami takimi jak „Stańczyk”, „Kazanie Skargi”, „Reytan” czy szkic do „Rzeczypospolitej Babińskiej”. Twó-



WŁADYSŁAW PODKOWIŃSKI  
(1866—1895)  
Dziewczynka z obręczą

czość jego cechuje dokumentalną dążność do jak najprawdziwszego oddania realizmu. W drugim okresie swej twórczości wpada pod wpływem wielmożów galicyjskich, a zwłaszcza Stanisława Tarnowskiego i gubi realistyczną postawę wobec rzeczywistości.

## Burżuazja wypiera arystokrację i szlachtę

Połowa XIX wieku przynosi już malarstwo realistyczne. Na

scenie występuje burżuazja odbierając coraz bardziej arystokracji i szlachcie jej uprzywilejowane stanowisko. Nurt patriotyczny wraz z głęboko humanistycznym stosunkiem do człowieka występuje w twórczości Artura Grottgera. Krytyczne widzenie rzeczywistości znajduje najsilniejszy wyraz w głębokich swych społecznych treściach realistycznego malarstwa braci Maksymiliana i Aleksandra Gierymskich.

Malarstwo tego okresu sięga po tematykę warstw upośledzonych, zagląda do wnętrza chat chłopskich, jak np. w scenie sprzedaży „Ostatniej chudoby”, czy „Chłopskiego pogrzebu”, Szermentowskiego. Malarstwo historyczne kontynuuje początkowo Jacek Malczewski, dając w realistycznych kompozycjach tragizm powstania styczniowe-

go, nim nie zejdzie na manowce symbolizmu.

W tym okresie sztuka polska pod wpływem zastrzążającej się walki klasowej i ucisku narodowościowego odbywa drogę wsteczną, ucieka od rzeczywistości i ulega coraz bardziej tendencjom formalistycznym.

Przełom polityczny, ekonomiczny i społeczny, dokonany w Polsce Ludowej w 1944 roku zmienił zasadniczo kierunek sztuki polskiej, otwierając przed nią szerokie możliwości rozwojowe przejścia od realizmu burżuazyjnego do realizmu socjalistycznego. Celowi temu służył zarówno I Kongres Sztuki Polskiej, jak i wystawa krakowska.

HENRYK BARAŃSKI



Wojciech Kosak

Fragment „Krwawej niedzieli”

## Franciszek Fenikowski

# UCIECZKA z KRONSZTATU

27 maja 1829 roku na pokład parowca „George IV”, stojącego w porcie kronsztackim, nad którym ciążyły masywne groźne, carskiej cytadeli, weszło trzech, młodych jeszcze, ludzi. Ubrani byli w polyskliwe cylindry i długie surduty, na które zgodnie z romantyczną modą narzucił szerokie peleryny. Jeden z nich, błąd młodziemiec z starannie utrzymywanymi „bakardami” co chwila rzucał niespokojne spojrzenia na kamienne nabrzeże, rojące się od ludzi, na las masztów kwitnących banderami różnych krajów w tym dalekim, północnym porcie. Również jego owarysze nie czuły się zbyt pewnie. Po krótkiej rozmowie z kapitanem Gordonem, typowym Anglikiem z fajeczką w ząbach, zeszli pod pokład parowca. Po bład młodziemiec nakreślił jeszcze spiesznie ołówkiem jakiś bilcekik i poprosił jednego z towarzyszy o oddanie go w domu Pieteszewa na Wybrzeżu Angielskim. Potem nastąpiły pożegnania i młody podróżny został w kajucie sam. Długo jeszcze patrzył z niepokojem przez iluminator na molo. Czy zęgnął spojrzeniem przyjaciół, czy też raczej wypatrywał wśród różnobarwnego tłumu turystów i marynarzy mundurów nikolajewskiego żandarma? Dopiero komenda kapitana syk pary i plusk bijących wód kół statku sprawiły że dziwny pasażer odetchnął z ulgą. O burty były już fale pełnego morza. Był wolny!

Tak wyglądało pożegnanie Adama Mickiewicza z państwem cara-despoty. Czy był to zwykły wyjazd romantycznego podróżnika, czy też ucieczka związanego z dekabrystami wziętem przyjaźni i idei poety buntu i wolności?

„Dla szczupłości funduszy puszczam się najkrótszą drogą, tj. morzem, do Lubeki” — pisał 12 maja tego roku Mickiewicz do Odyńca. Napisał tak, bo chciał wytłumaczyć, dlaczego nie odwiedził po drodze Wilna, prawdopodobnie jednak inne przyczyny spowodowały decyzję poety, przesadzającą o rejse bałtyckim. Finansowo miał się Mickiewicz wówczas bardzo dobrze, znając jednak żeglugę z wojażu krymskiego wolał chyba płynąć wygodnie statkiem, niż trząść się w dyliżansie.

Może też pragnął odświeżyć wrażenia, jakie wyniósł z żeglugi po Morzu Czarnym. Wrażenia te nie zatarły się podczas pobytu w Rosji. Widać to ze stylu ówczesnej korespondencji, w której znajdujemy takie zwroty, jak „balast listowy” bardzo do żeglugi potrzebny, oraz z niektórych improwizacji. W Moskwie, prawdopodobnie w r. 1826, improwizował poeta po francusku dla swych rosyjskich druhów na temat „przeplięnięcia przez Morze Czarne i przybycia do Odessy zwłok patriarchy prawosławnego z Konstantynopola, zabitego przez Turków.” Improwizacja ta według świadectwa Wiążemskiego była „świetna, prześliczna”. 2 grudnia zaś następnego

roku podczas obiadu, wydane go na cześć wieszcza przez Buharyna, deklamował poeta cały poemat o wyprawie żeglarsza Parry'ego do północnego bieguna.

Po opisanu, w jaki sposób doszło do wyprawy, dał Mickiewicz wspaniały obraz budowy okrętu, który był, zdaniem Malinowskiego, świadectwem dostatecznym, jak poeta, „zwraca na wszystko uwagę, co ze sztuki jego ma związek.” Następnie przedstawił trudy kapitana, zmagającego się na równi z żółgą, ze strasznym sztormem, śniegiem i lodem, odmalował bunt marynarzy i opanowanie go przez dzielnego dowódcę, który skłania żeglarszy do karrości, porywającą przemową. Pomijając akcenty patriotyczne umieszczone przez Mickiewicza w mowie kapitana, godne uwagi jest tu obeznania poety z morzem i jego prawami.

Czyż jednak tylko chęć przeżywania nowych, morskich wrażeń skłoniła Mickiewicza do obrania drogi przez Bałtyk? Morzem przecież można było najszybciej opuścić posepny

Petersburg. Autor „Sonetów” opuścił państwo „północnego cara”, jak już pisałem 27 maja 1829 roku. „Uczył się to bez pożegnania, z pospiechem, gdyż — jak pisze A. Chodźko — do wiedziliśmy się, że policja miała już rozkaz odebrać paszport, dany mu za granicę. Rozkaz, jak to się często dzieje w Rosji, przyjaciele opóźnili o parę dni, zatrzymując go w tełkach kancelarii Ministra Spraw Wewnętrznych.”

Poeta podczas nocy załatwił ostatnie sprawy i wsiadł rano w „dzień św. Zofii (według starożytności) najpiękniejszy, jaki był w Petersburgu” w łódce, która go odwioła do dymiącego już parowca na środku Newy. „O samej ósmej — opowiada Odyniec — głos dzwonka, świst pary, szum wody i okręt ruszył poważnie wzdłuż rzeki! Adam stał na pokładzie, odkrył głowę i chustką ku nam powiewał. Blask słońca jakoś ognicie odbijał od barwy jego piaszcza i po tym tylko najdłuższej można go było rozróżnić.”

A. Chodźko towarzyszył poecie aż do Kronsztatu, gdzie mo-

skiewski przyjaciel Mickiewicza, Olenin, dopomógł naszemu zbiegowi w szybkim załatwieniu formalności z kapitanem angielskiego parowca „Goerge IV”, Gordonem. Na pokładzie statku poeta pospiesznie napisał ołówkiem bilet pożegnany do Marii Szymanowskiej, przeprasząc, że nie mógł pożegnać jej osobiście. Czekał na odpłynięcie statku, nie czuł się poeta zbyt dobrze. Do ostatniej chwili bał się, że go zatrzymają carscy żandarmi. „Odpływając z Kronsztatu — zwierzył się po latach towarzyszkowi, Biergelowi — instynktowo prawie chowałem się pod pokładem.” Zdenerwowanie nabawiło go bólu głowy. Po dobie jednak żegluga nie tylko odzyskała „zdrowie i humor”, ale nawet oczy, na które ostatnio chorował przestały mu dokuczać. Rejs był pomyślny. Mickiewicz zdrowy i wesoły nawiązał rozmowy z podróżnymi i zaczął pisać dziennik w stylu Sterna, aby podzielić się wrażeniami z pozostałymi w Rosji przyjaciółmi. Odpędzał od siebie przykre myśli podobno chciał nawet rzucić w morze swój czarny tłumok podróżny, ponieważ myśli o jego rozpakowywaniu i pakowaniu napęlniała go przerażeniem.

Jest dość wątpliwe, czy z całej podróży morskiej — jak twierdzi A. E. Odyniec — tylko ten szczegół wraz z „doskonałym befsztykiem” zjedzonym w Hamburgu pozostał poecie w pamięci. Opowiadał przecież Mickiewicz Biergelowi: „Na pełnym morzu, gdy byłem pełny, że mnie nie schwyca, wystąpiłem na pokład i rzucałem w morze drobne pieniążki z wizerunkiem orła rosyjskiego.” Mijając zaś wydmy Połagi, zwłastując dalekie brzegi Litwy, poeta myślał chyba o Maryli. Zdaje się na to wskazywać wiersz, napisany potem na alpejskiej przełęczy w Splügen: „Nigdy, więc nigdy z tobą rozstać się nie mogę, morzem płyniesz i ładem idziesz za mną w drogę.”

Z Hamburga donosi poeta Marii Szymanowskiej, że śniło mu się na morzu i ładzie, ażeby po cichu wylądować na Wybrzeżu Angielskim w Petersburgu i wrócić do swego mieszkanka, a potem „z łyżką w kieszeni, nie proszony, zadzwonić u drzwi Pieteszewa.” W którego domu mieszkała pani Maria Zapewnienie to jednak wygląda raczej na grzeszność Mickiewicza wobec sławnej pianistki. Ówczesne usposobienie poety rzucającego w fale byronowskim gestem pieniążki z dwugłowym orłem nie potwierdzało tych słów. Odpowiadałyby mu raczej wiersze Childa Harolda:

„Już okręt piersią kraje głębinę  
I żagle na wiatr rozwinął,  
Nie dbam, ku jakim brzegom popłynę,  
Byleby nazad nie płynął.”

Bałtycki rejs zbiega z Kronsztatu minął bez przygód i skończył się zawinięciem do portu w Travemünde w sobotę, 1 czerwca 1829 roku.



Gdy czas biegnie prosto jak szyny  
w przyszłość NASZA I WASZA,  
nastawiamy semafor dnia  
na lotu twego kierunku,  
gołębiu, otwórz skrzydła,  
obejmij cały świat,  
w międzynarodową strunę  
uderz!

Idziemy. W powszechnym marszu  
biją braterskie serca  
tragarzy z doków angielskich,  
twórców warszawskich tras,  
włoskich bojowników o wolność,  
poety Pablo Narudy,  
amerykańskich ludzi,  
o których pisze Howard Fast.

dziewcząt z radzieckich pól  
na szczytach czerwonego traktora,  
chińskich żołnierzy, których hymnem  
są wiersze Mao Tse-Tunga  
— GOŁĘBIU, OTWÓRZ SKRZYDŁA  
I JAK KOMPAS POKOJU PROWADZ  
dzielnymi synów Vietnamu,  
walczących o wolność w dżunglach,

Armję Ludową w Korei,  
Hiszpanów jak buntu dynamit,  
czarnych mieszkańców Haarlemu  
i francuskich górników z Nordu,  
BY ZA NAMI ZOSTAŁY POŁA BITEW,  
A UPRAWNE STANĘŁY PRZED NAMI,  
by w sercach wolnych, narodów  
zwycięski zagrał POKÓJ!

Kazimierz Winkler



# KWIAT JABŁONI

Nazywają mnie Li-Su-In. Urodziłam się na wsi w powiecie Czun. Przyglądam się nieraz małym, wesołym dzieciom biegającym po ulicach z barwnymi chorągiewkami w rączkach i zdaje mi się, że nigdy chyba nie byłam dzieckiem...

Ojciec mój handlował ongiś soją, a moja niewidoma matka mełła bezustannie sojowem siemieniem w ręcznym, koślawym młynku. Od czasu, gdy siebie pamiętam — zawsze pomagałam matce.

Gdy miałam lat 13 umarł nasz ojciec, a matka szalała z rozpacz. Cóż miała robić bezsilna niewidoma z czworgiem małych dzieci? Kochała nas bardzo, a wiedziała, że grozi nam głód. Po pogrzebie ojca sprzedaliśmy nasz nędzny skrawek ziemi, gdyż nie miał jej kto uprawiać. Wkrótce nie mieliśmy już nic. Ani ziemi, ani odzieży, ani garstki soli. Stałiśmy się nędzarami w całym tego słowa tragicznym znaczeniu.

Piękne są kwiaty jabłoni, gdy pokrywają gałęzie drzew lub zdobiją włosy beztrzęsliwych dziewcząt. Lecz dla mnie kwiaty te były nienawistne i chętnie deptałabym delikatne, białe-różowe płatki gęsto opadłe na ziemię. Przez długi czas bowiem stanowiący one nasze pożywienie... Mieszaliśmy je z liśćmi iwy i korzeniami dzikiego tytoniu. Od takiej strawy matka stała się sucha i czarna jak suszona na słońcu ryba, a moi mali bracia krzyżeli po nocach, trzymając się za potwornie wzdęte brzuszki.

...Wieczorami siaduję teraz przy oknie, spoglądam na tłoczących się na ulicach



ludzi i myślę: „Jakże zmieniło się życie!”

Patrzę na dziewczęta o krótkich włosach i wolnych stopach. Z wesołymi oczyma i książkami w rękach idą swobodnie i radośnie.

Bo moja młodość, bezradna i poniżana, nigdy już nie wróci. O, przeklinam tych, którzy mi ją ukradli! ...Miałam 17 lat, gdy matka wydała mnie za mąż. Zawieziono mnie do sąsiedniej wsi i tam, w domu teściów, miałam pierwszy raz zobaczyć swego męża...

Była wiosna i znowu kwitły jabłonie. Wchodząc do nowego domostwa, zerwałam gałązkę ciężką od kwiecica: był to przecież dzień mego wesela... A może los odmienił się i za tym progiem czeka szczęście? Ale wszedłszy do środka zrozumiałam, że i tutaj nie zaznam spokoju.

„Rzuc to zielsko, weź wiadra i maszeruj po wodę” — zaskrzeczała gniewnie matka pomarszczona starucha, siedząca na podłodze z długą fajką w ręku. Obok niej stał i patrzył na mnie spodoba starszawy, surowo wyglądający człowiek. To był mój mąż.

Teść każdego ranka wychodził na miasto, aby wynajmować się jako tragarz. Wiecznie szukał pracy, lecz takich jak on było wielu. Gdy wracał do domu zmęczony i głodny, bił mnie bez powodu, aby dać upust swej złości. Mąż pracował u obszarnika za miskę zupy dziennie. Do domu nie przychodził.

Po dwóch latach urodziłam córeczkę. Mąż i teściowa nie szczędzili mi z tego powodu złośliwych wymówek. Potrzebowali pomocnika, a więc syna. Córka była tylko zbytecznym ciężarem, dodatkowym współni-

kiem do i tak pustej miski. Ponieważ żywiłam się tylko zupą z trawy i rzadką kaszą jęczmienną — wkrótce straciłam pokarm. Karmiłam dziecko tym, co jadłam sama, lecz brzusek mu pęczniał i bez przerwy plakało.

Pewnego dnia, bracia meza, widząc, że dziecko dogorywa, wyrwali mi je i chcieli pochować. Rzuciłam się w pogoń i zastałam ich przy wykopanej już mogiłę, do której zamierzali wrzucić dziecko, aczkolwiek tliła się w nim jeszcze iskierka życia.

Udało mi się uratować nieśczęśliwą, niewinną istotkę, lecz niestety nie na długo. Umarła niebawem i sama musiałam ją pogrzebać...

Gdy Japończycy zajęli naszą ojczyznę, miałam już jedynak pięcioro dzieci. Wegetowaliśmy bez przerwy. Wojna rozłączyła mnie z mężem i cóż mi pozostawiało? Jedyne zginęło razem z dziećmi. Lecz próbowałam jeszcze jakoś żyć...

Dziewięcioletniego synka sprzedałam pewnemu obszarnikowi. Traktowano go jak niewolnika, gdy wyczerpany pracą ponad siły zachorował — nie ratował go nikt. „Tanio przyszedł — tanio poszedł” rozumowali jego właściciele. Umarł między obcymi, dziecko-starzec, nieszczęśliwe stworzenie, które nieopatrznie wydałam na świat. Umarł wzywając matki, a ja nie mogłam mu pomóc! W ten sposób straciłam drugie dziecko i po raz drugi rozdarło mi się serce.

Pewnego dnia jednak postanowiłam więcej nie płakać. Przywołałam najstarszego syna i powiedziałam mu: „Idź chłopcze w góry, tam, skąd wczoraj wieczorem przyszedł młody żołnierz. Mówił, że jest ich wielu, że walczą z Japończykami i bogaczami, że chcą, byśmy wszyscy byli syści i aby nasze dzieci nie umierały z przepracowania...”

Poszedł więc syn do partyzantów i długo nie dawał znać o sobie.

Takie jest jednak życie, że po najczarniejszych chmurach i najulewniejszym deszczu pokazuje się w końcu słońce, a z każdą wiosną naga, płowa ziemia pokrywa się młodą trawą i uśmiechniętymi kwiatami...

Gorzkie i żałosne było moje życie i przez długie, długie lata nie wiedziałam co znaczy radość. Lecz radość ta nie ominęła ostatecznie biednej, starej kobiety o wyblakłych od łez oczach.

Nadszedł wielki dzień, na który z utęsknieniem czekałi wszyscy mieszkańcy naszej wioski, równie nędzni i nieszczęśliwi jak ja. W ten dzień przyszła do nas Armia Ludowa. Wyszliśmy gromadnie na jej spotkanie, wymachiwaliśmy rękami jak szaleni i krzyčeliśmy słowa bez sensu i związku, bo radość rozsądzała nam serca...

Stałam na progu chaty i wypatrywałam sobie oczy. Myślałam o synu. Obok mnie zatrzymał się samochód i młody chłopiec w wojskowym sznelu poprosił o wodę. Miał wesołą, aczkolwiek zmęczoną twarz, spaloną wichrem i ogorzałą od słońca. Spojrzał na mnie i powiedział: „Bądź spokojna, matko, Armia Ludowa zwyciężyła. Naród sam zacznie urządzić sobie życie, lepsze i sprawiedliwsze!” I popędził ku samochodowi. Krzyknęłam w ślad za nim: „Wróć, mój synu! Chcę ci coś powiedzieć!” Gdy podszedł ponownie, zerwałam gałązkę kwitnącej jabłoni i dałam młodemu żołnierzowi, który przypominał mi syna, mówiąc:

„Oto kwiaty dla ciebie od starej kobiety. Ich płatki były dla mnie zawsze bardziej gorzkie niż piołun. Żywiłam się nimi i nie istniało dla mnie ich piękno. Dzisiaj pierwszy raz widzę jak są urocze i pierwszy raz w życiu płacę — ze szczęścia!...”

tum.:  
Wanda Bielawska

Aleksander Kulisiewicz

# „Na świecie nie ma kalek...”

(Korespondencja własna „Głosu“)

LICZNYMI, choć jeszcze nie zaśnieżonymi krokami, zbliża się Nowy Rok 1951 w uroczej, nadwielitawskiej stolicy Czechosłowacji. Wigilia za pasem. Domy towarowe przepelnione po brzegi; rojno tu wszędzie i gwaro — jak na radosnym, beztróskim jarmarku... Dla ludzi, którzy stracili możliwość spędzenia świąt w gronie najbliższych, dla starców, sierot, przejezdnych organizuje solidne wieczery wigilijne (po znizonych cenach) przedsiębiorstwo państwowe „Ceskoslovenske Hotely”. Dawniej o czymś podobnym nie można było w ogóle marzyć.

— No, tak — myślimy — ładnie by się spacerowało po Vaclavskem Namesti, gapilo na tysiące mrugających, co chwila neonów, ale trzeba się przecież podzielić czymś z czytelnikami, zrobić — czy ja wiem? — jakiś reportaż, może wywiad? Choć tym razem istotnie niecodzienny, rozświetlający, że tak powiem, skrzydła do lotu — optymistyczny wywiad.

I WYBRAŁEM się do praskiej, robotniczej dzielnicy „Karlin” (Pražka X).

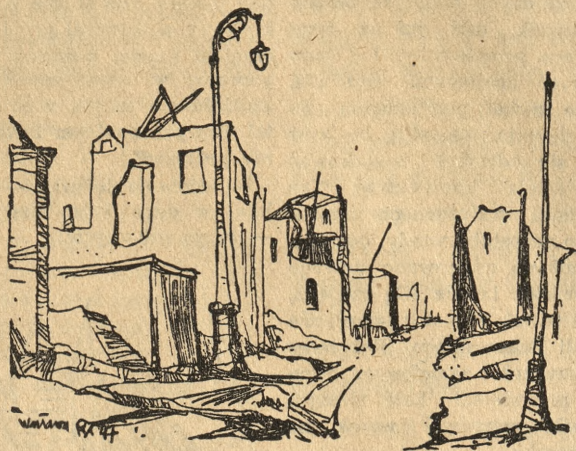
Mieszka tutaj niezwykle młody człowiek. Nie tylko utalentowany artysta-malarz, literat, autor szeregu dowcipnych reportaży radiowych, lecz przede wszystkim — bez przesady mówiąc — uosobienie tego rodzaju energii, z jaką nie spotkać się chyba na przestrzeni XX wieku. Bo, przynajmniej sami, czy nie jest dość energicznym wycyzymem przemaszerać np. 3000 kilometrów?

— Eh, to mi sensacja... — zniecierpliwili się niejedni — sam w 1939 roku „dałem nura” przed hitlerowcami z Poznania aż do Przemysła i wcale się tym nie chwale...

Racja. Ale Petr Kameniczek (tak nazywa się nasz

niezwykły człowiek) przebył trasę o wiele, wiele dłuższą: z Prażi do Krakowa, Kielc, Radomia, Poznania, Warszawy, Torunia, Tczewa, Gdańska, Szczecina, Wrocławia... itd. — to wszystko przebył na trzykolumnym wózku kaleki. Trudno wprost uwierzyć! Weźmy mapę, przyjrzyjmy się bliżej tym odległościom, a gdyby to nawet nie przekonało kogoś — wybierzmy się na takim weh-

Dzienniki nasze pisały swego czasu dużo o tym ambitnym malarzu; popamiętaj przy tym jeden kardynalny błąd, traktując gościa Kameniczka w 99 proc. jako curiosum turystyczne. Nikt potem nie wspominał, ile przeżył, ile stworzył podczas wędrówki, ile wiary w socjalistyczną Polskę wszczepił w serca braci — Czechosłowaków malarz-kaleka Petr Kameniczek, po powrocie do kraju.



„WARSZAWA DOLOROSA” — jeden z charakterystycznych szkiców sparaliżowanego pejzażisty czeskiego Petra Kameniczka (ur. 1922). Był to rok 1947... Jakżeż inaczej wygląda dzisiaj nieujarzmiona stolica Polski!

kule choćby do najbliższej pod Poznaniem wioski. Gwarantuję, że nie zrobicie ani 10 kilometrów!

Były już setki „narwanych” podróży dookoła świata, było tysięcy mniej czy bardziej ekstrawaganckich wycyzymów (jak np. tańczenie bez przerwy 48 godzin, rzecz jasna w USA, pływanie w lodowatej temperaturze, ekspedycja na Mont Everest itp.) — żadna jednak eskapada nie wytrzymuje porównania z tym, na co zdobył się niepozorny kaleka Petr Kameniczek, bez jakiegokolwiek „szumu” czy reklamy.

Wstyd pał nam policzki, kiedy ścisłamy dłoń sparaliżowanego i uświadomiamy sobie, że cztery lata minęło już od „anabasis” Petra.

— Nevadi... maliczkość... — Nie szkodzi, drobiazg... — uśmiecha się nasz rozmówca — ważniejsze to, że mogę z kimś znów po polsku porozmawiać. Mówi łamaną polszczyzną, ale z jakim przejęciem! Jaką satysfakcją sprawia mu każde „odgrzebane” w pamięci słowo.

PETR KAMENICZEK (ur. 1922) członek Związku Artystów - Plastyków Czechosłowackich, autor szeregu prac,

## Stare i zapomniane miasteczko

# JUBILEUSZ którego nie obchodziliśmy

Wschowa nie posiada wprawdzie dokumentu, który by pozwolił ustalić ponad wszelką wątpliwość dokładną datę jej powstania. Istnieje jednak dostateczna ilość świadectw potwierdzających polskie pochodzenie osady i nazwy zanotowanej w rzędzie kilkuset miejscowości Wielkopolski już w roku 1136. W czternaście lat później, to znaczy w roku dla nas dziś jubileuszowym, uznawanym przez niektórych historyków kultury za rok założenia miasta, w roku 1150, Mieszko Stary nadaje Wschowie pierwsze przywileje.

Od najdawniejszych czasów Wschowa była ważnym ośrodkiem życia gospodarczego Wielkopolski. Na pomysły rozwój osady wpłynęło korzystnie położenie na ważnej trasie gospodarczej, wiodącej tędy z Poznania do Głogowa i dalej do Lipska.

Już z początkiem XIII wieku zaznaczył się tu bardzo pomyslny rozwój warsztatów tkackich i rękodzielnictwa miejskiego, odgrywającego z początku ważniejszą rolę niż handel. Miasto było dobrym rynkiem zbytu dla płodów rolnych, pochodzących początkowo z drobnych gospodarstw. Z drugiej strony rękodzielnictwo miejskie produkowało tylko na potrzeby okolicznych wsi. Ta wzajemna zależność miasta od wsi i naodwrot była dla ówczesnego rozwoju stosunków gospodarczych bardzo charakterystyczna. W miarę czasu zaznaczyło się jednak zapotrzebowanie na produkty rolne na zachodzie, z czego rozwinął się, kosztem sprostetaryzowanej warstwy chłopskiej, szczególnie w XV wieku eksport maki i zboża. Szesćdziesiąt cztery wiatraków na skrajach Wschowy meły zboże obszarnicze, które drogą przez Lipsk odchodziło stąd na zachód. Jednocześnie zaznaczył się silny rozwój rękodzielnictwa.

W XVI wieku połowa mieszkańców trudniła się tkactwem. Gdyby rozwój poszedł był normalnie dalej w tym kierunku poprzez przekształcenie manufaktury w przemysł tekstylny, Wschowa odegrałaby

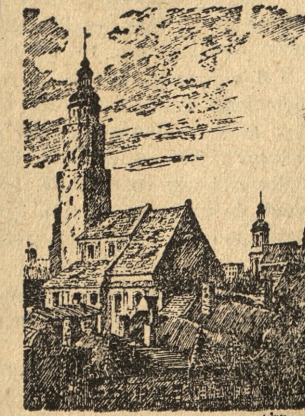
prawdopodobnie w tej dziedzinie bardzo poważną rolę. Już w wieku XVI wschowskie wyroby wełniane szły na eksport do Rosji i dalej nawet do Chin. Te naturalne warunki rozwoju zmieniły się jednak radykalnie z chwilą przejścia miasta, w rezultacie drugiego rozbioru Polski, pod panowanie pruskie. Kongres Wiedeński w r. 1815 zamknął dla miejscowego przemysłu tekstylnego drogę na wschód. Wielu fachowców przeniosło się wtedy do Kongresówki, szczególnie do Łodzi.

W organicznym powiązaniu z życiem gospodarczym Rzeczypospolitej miasto zajmowało w granicach Wielkopolski jedno z poczesnych miejsc. Pod względem ilości rzemieślników (434) — w szczególności tkaczy, garbarzy, browarników, garncarzy — Wschowa wyprzedzała w XVI wieku nawet Bydgoszcz i zajmowała drugie miejsce po Poznaniu, liczącym wówczas 450 rzemieślników.

W przeszłości piastowskiej miasto stało wiernie przy prawowitej władzy. Stąd też król Kazimierz Wielki wspomagał wysiłki władz miejskich zmierzające do usunięcia zgubnych skutków licznych pożarów i wojen. „Osobliwym zaszczytem dla Wschowy — podają źródła — było wybranie jej na miejsce uroczystości słubnych leciwego już króla Kazimierza Wielkiego z Jadwigą, córką księcia Henryka Żagańskiego, w roku 1364”.

W skarbcu języka polskiego uwieczniła się również działalność mennisicy wschowskiej, któ-

ra biła polskie dutki, halerze i kwatniki, a później — od nazwiska mincerza Andrzeja Tymfa — tymfy. (Stąd powiedzenie: „Dobry żart — tymfa wart”). Inne nazwisko łączy stare dzieje miasta z historią postępu i wiedzy. Jak podaje wydana w bieżącym roku cenna monografia „Ziemi Lubuskiej” „Instytut Zachodni, Poznań 1950) po roku 1773 mieszkał we Wschowie Józef Rogaliński, autor pierwszego polskiego podręcznika fizyki i założyciel pierwszego obserwatorium astronomicznego przy placu Kolegiackim w Po-



znaniu. W drugiej połowie wieku XVIII działał również we Wschowie znakomity architekt włoski, Pompeo Ferrati.

W ostatniej wojnie Wschowa uniknęła większych zniszczeń. Polska przeszłość miasta utrwalona w pomnikach architektury prawie w całości ocalała. Zabytkowe domy zwrócone szczytami dachów w stronę ulicy oraz dawne mury obronne z XVI wieku znajdują się pod opieką konserwatorów. Ale nowe życie Wschowy, 800-letniej jubilatki, związane z budownictwem socjalistycznych podstaw rozwoju gospodarczego, zwrócone jest w przyszłość.

A. W.

Praga, w grudniu.

wystawianych m. in. w ramach imprez z okazji II Kongresu URO (Kongres Centralnej Rady Związków Zawodowych) jest uczniem wybitnego pejzażysty czeskiego prof. Vladimíra Sychry, prof. Vojtecha Tittelbacha (figuralisty) i m. in. znanego grafika praskiego prof. Karla Gabriela. Młody ten artysta, specjalizujący się w realnych, wiernych szkicach krajobrazu (technika: olej, pióro, i tzw. „gouaché” — rodzaj zabilowanej łagodnie tempery), debiutował w 1946 roku cyklem „Praskie peryferie” (50 obrazów). Były to, przejmujące swoją ponurą, nie przesadzoną bynajmniej wyrazistością, rzuty przedmieść Prażi, niektóre jeszcze z czasów okupacji.

Patrzmy z kolei na polski dorobek sympatycznego Petra.

— Ależ tego sporo! Cała kolekcja!

Oto niektóre ważniejsze prace olejne: „Wrocław, ul. Lignicka”, „Most w Gdańsku”, „Miechów”, „Hel”, „Birkenau”, „Bałtyk pod Szczecinem” — w ogóle Polska wszędy i wzdłuż. Pejzaże stylizowane à la „gouaché” (odpowiadające wybitnie indywidualności malarzkiej Kameniczka) obejmują m. in. takie tematy jak „Grudziądz od strony Wisły”, „Ruiny Gdańska”, „Wrocław woła o pomstę”, „Warszawa”, „Rytm Katowic” etc. Najwięcej stosunkowo jest szkiców reportażyowych. Setki z nich rozebrano w drodze, około 80 ukazało się na łamach prasy polskiej (niestety tylko w okresie wędrówki Kameniczka po Polsce, potem już nie) — tak, że do Prażi dowiódł autor „zaledwie” 50 pejzaży tego typu. Tematyka ich jest bardzo różnorodna. Nieraz posiada silny wydźwięk socjalny (jak np. szkice pt. „Przedmieście Kielc”, „Wioska Brzegi”, „Wieżerów”), to znowu dokumentalne (np. „Warszawa, Plac Saski”, „Hel zwyciężył!”, „Gdynia, molo pilotów” itp.).

Poznań utrwalił Kameniczek w 5 szkicach (m. in. „Plac Wielkopolski”, „Cytadela”, „Katedra”). W swoich reportażach radiowych i materiałach do przygotowywanej książki pt. „Polska w rąbce wędrówców” często wspomina o tym właśnie mieście, określając je „kolebką najszczęśliwszej polsko-czechosłowackiej przyjaźni”.

Ogółem ponad 100 pozycji stworzył u nas Petr Kameniczek. Wraz z towarzyszącymi mu kolegami Vaclavem Boukalem i Rudolfem Battkem zorganizował po powrocie do kraju szereg wystaw w Prażi i na prowincji, połączonych z referatami dla robotników, z wywiadami w radio czeskosłowackim itp.

— A co pana obecnie najbardziej interesuje? — pytamy.

Kameniczek wyciąga rocznik „Nového Polska”, miesięcznika wydawanego przez tutejsze Biuro Informacji Polskiej w Prażi. Mówi krótko, z jakimś płomiennym błyskiem w oczach:

— Wasza odbudowa.

A kiedy żegnamy go, życząc dalszych sukcesów, podjeżdża wózkiem pod same drzwi, otwiera je, jakby miał 10 nóg i dodaje:

— „... bo wasza odbudowa przekonała mnie czarne na białym, że w zakresie niespożytej energii ludzkiej świat nie powinien się dzielić na bardziej czy mniej ułomnych. Kto wie, może na świecie nie ma wcale kalek...”

MASZ WIELE, wiele rąk dzielny nasz przyjacielu, Petrze Kameniczku!



# Sprawa PIOTRA BUKOWSKIEGO

Wielkie koło zamachowe dieslowego motoru poruszało w hali maszyn lekki wiatr. Wybuchy w cylindrach, zciszone tłumikiem były w powietrzu miarowo, jak uderzenia pneumatycznego młota. Elektrownia stała nad jeziorem i odgłos pracy Diesla rozchodził się daleko; dlatego może przypominał pracę wracającego z wieczornego połowu na morzu rybackiego kutra. Zresztą zupełnie niedaleko zbudował miejscowy rybak wędzarnię i przyjemny, smakowity zapach dochodził aż na ulicę. Mieszał się tutaj z kwaśnymi, gryzącymi w gardle wyciewami dużej akumulatorki. Urządzenie to było przestarzałe, a nawet — tak prawdę powiedziawszy — niezgodne z przepisami higieny pracy. Tylko brak energii elektrycznej w mieście uzasadniał fakt ich wykorzystywania. Załoga elektrowni z niecierpliwością czekała roku 1953, kiedy przewidziano w planie ukończenie budowy nowej, wielkiej siłowni, mającej zaopatrzyć w prąd kilka fabryk, których budowę rozpoczęto już w powiecie.

Dzisiaj stara elektrownia pracowała jak mogła. Załoga została nawet wyróżniona we współzawodnictwie wojewódzkim za niski procent przestoju, z czego robotnicy byli szczególnie dumni. Na ten sukces składały się wysiłki całej załogi, która nie żałowała trudu, by starego gruchota jakoś do emerytury doprowadzić.

Maszynista Pietraszek stał na galerii dwucylindrowego Diesla. Uważnie obserwował pracę zaworów. Podczas poprzedniej zmiany zwrócił uwagę na obcy, fałszywy ton ich rytmu — i teraz, skończywszy oświetlenie, co u starego fachowca połączone było ze swoistą liturgią, przyglądał się jak zawory z lekkim trzaskiem poddawały się naporowi wału rozrządczego. Grube jak dźwóz-



nice zwoje sprężyn ugięły się lekko. Zdawałoby się, że siła naporu nie jest wcale tak wielka. Nie tu jednak leżał błąd. Doświadczony oko i słuch maszynisty, którym się Pietraszek chlubił mimo 60 lat, wykrył, że obluźowała się śruba przytrzymująca sprężynę przy głowicy zaworu.

— Nie pamiętałem ten... jak mu tam... Marzecki — mruzczał stary majster do siebie, schodząc na dół uspokojony. Śrubę dokręcił za godzinę, gdy zaczęli pracować jak codzień o tej porze druga maszyna tzw. „nocna”.

Na schodach złapał go zimny podmuch przeciągu. Stary maszynista odwrócił się ku drzwiom prowadzącym na podwórce. Stał tam bez czapki, z rozstawionymi szeroko, chwającymi się nogami dyżurny elektrowni. Gruba twarz pokryta była niegolonym od kilku dni zarostem. Ręce trzymał w kieszeniach wymiętoszonych bezlitośnie spodni, pochylając się to do przodu, to do tyłu. Kapełusz chyba gdzieś zgubił, bo włosy zlepkone świecącym potem rozpadały się mu na wszystkie strony. Bukowski pił od dawna, co nie było dla nikogo tajemnicą, ale też nikt nie zajmował się tą sprawą. Machano

na niego ręką: „Pijak moczy morda, cholera niech go strzele!”. Ludzie mówili to trochę ze złością, trochę ze śmiechem pobłażania, ale jakoś Piotr Bukowski w elektrowni dalej egzystował. Nie bez wpływu był tu chyba fakt, że dawny kierownik, dziś już na inne miejsce przeniesiony, był jego dobrym znajomym. Kto wie, może nawet przyjacielem. To go chroniło dawniej, bo ktoś by się odważył zaatakować przyjaciela kierownika? Ten stosunek do dyżurnego zmianowego pozostał i wtedy, gdy kierownikiem mianowano nowego człowieka. Ludzie siłą rozpędu na ulicę. Mieszał się tutaj z kwaśnymi, gryzącymi w gardle wyciewami dużej akumulatorki. Urządzenie to było przestarzałe, a nawet — tak prawdę powiedziawszy — niezgodne z przepisami higieny pracy. Tylko brak energii elektrycznej w mieście uzasadniał fakt ich wykorzystywania. Załoga elektrowni z niecierpliwością czekała roku 1953, kiedy przewidziano w planie ukończenie budowy nowej, wielkiej siłowni, mającej zaopatrzyć w prąd kilka fabryk, których budowę rozpoczęto już w powiecie.

— Czego tam leżysz, stary dziadul — wrzasnął na maszyniście i ruszył falistym krokiem ku niemu, niezrozumiale bełkotając do siebie.

Było w nim coś z rozjuszonego byka, choć chwilami przypominał sutenera z francuskich filmów. Mężczyzna był to postawny mimo dużej tuszy. Choć ważył ponad 100 kilogramów, nie był rozlazłym tłuszcuchem. Podobno kiedyś uprawiał sporty, a szczególnie wodne, co nadało jego ciału słusznych proporcji, wblajając w niego fałszywe przekonanie, że jest mężczyzną pięknym. Za takiego bowiem chciał uchodzić, lubując się w opowiadaniach o miłosnych sukcesach. Większość ich, co nie było trudno odgadnąć, zmyślał od początku do końca. Był jednak i tacy, którzy tym bajdom dawali wiarę.

Pietraszek znał dobrze Bukowskiego. Mówiąc szczerze: nie lubił go, a właściwie — gdyby swój stosunek do niego gruntownie przeanalizował — odnalazłby dla tego człowieka tylko pogardę. Stary maszynista w ogóle nie cierpiał pijaków. Szczególnie dlatego, że kiedyś, za młodu, sam pił w gronie kumpi, którzy za punkt honoru uważali przepicie choćby połowy każdej tygodniówki. Od czasu, gdy Pietraszek się ożenił, a było to przed 35 laty, unikał libacji pijackich jak ognia. Dzięki temu dziećmi były zdrowe, a i w domu, choć skromnie, ale na wszystko starczało.

Bukowski dopiero po chwili dotoczył się do Diesla.

— Czego ty się szwendasz? — indyczył się, kreśląc ręką pijackie esy floresy. — Porządek musi być!... A nie, to won!

Od maszyny nocnej ruszył pomocnik Pietraszka. Był to, jak to się mówi — „chłop na schwał”: 1,85 m wzrostu, łapy żyłaste, barki rozrośnięte. Podszedł do pijanego od tyłu i położył mu na ramieniu ciężką rękę.

— Spokojnie panie zmianowy. Co pan zaczepia starego człowieka?

Biedrzyński mówił powoli, z pewnością siebie, ale bez przechwałki — tonem jaki często się spotyka u ludzi statecznych, dysponujących dużą siłą fizyczną.

— Zaczep pan mnie!

W głosie młodego robotnika czaiła się groźba. Zmianowy chylił się na wszystkie strony, jak wybujały chwast na wietrze. Ruchem ślepca szukał poręczy schodków. Chwycił się jej kurczowo.

— Dajcie spokój, ja przecież nie chciałem tego... wszystko dobrze, no zgoda...

Mamrotał bez sensu, płacząc ze sobą słowa. Przeszedł z mroźnego powietrza i w cieplej

hali alkohol uderzył mu do głowy. Powłókił się do dyżurki, padł na ławkę przed tablicą rozdzielczą i oparłszy się bezwładnie o biurko dyżurnego, zachrapał pijackim snem.

Po pół godzinie wszedł do hali mający dziś służbę Wądecki, który wykańczał przed włączeniem nocnej maszyny pilną naprawę w transformatorowni. Zbliżała się szósta, więc zapytał, czy przypadkiem Bukowski nie przyszedł.

— Idźcie do dyżurki! — krzyknął w odpowiedzi Bierzyński — to go zobaczycie!



Pomocnik maszynisty coś tam jeszcze krzyczał, ale resztę zagłuszył huk motoru.

Podobno najlepiej jest, jeśli w opowiadaniu, noweli lub powieści — za wyjątkiem poezji — nie występuje autor. Ma on tak opowiadać dzieje swoich bohaterów, by nikt nie pomyślał, że to on ciągnie fabułę, a że historia ot, tak „sama z siebie” opowiada się czytelnikowi. Obyczaj ten jest oczywiste słuszny, ale cóż robić, kiedy autor sam w całej sprawie brał udział? Zasadniczo nie miałem zamiaru siebie w akcję wplątać, ale jakoś inaczej mi nie wychodzi, więc opowiadanie o dniu następnym zaczniemy nieco inaczej.

Przyszedłem do biura. Przeglądałem ranną pocztę, szukając listu ze Zjednoczenia, które by przydzieliło nam wreszcie papę na nowe pokrycie dachu hali maszynowej, rozczarowując się każdym piśmie, które nie tej sprawy dotyczyło.

Potem wziąłem raporty. Życie ropy normalne, przestoju nie było, więc chciałem odłożyć skoroszyt ze spiętymi kartkami raportów, gdy zapukało do drzwi. Rzuciłem „proszę”.

Wszedł Biedrzyński i spokojnym krokiem zbliżył się do biurka. Kiedy obserwowałem jego chód, zawsze nasuwało mi się porównanie do dobrze pracującej maszyny. Kroki stawały wymierzone, choć zapewne nie zdawał sobie nigdy sprawy z tego faktu.

— Siadajcie — powiedziałem — co was sprowadza?

— Przyszedłem według Bukowskiego — odmierzał wyrazy jak kroki — zobaczcie może kierownikowi, raport.

— Już oglądałem.

— I nic nie zauważyliście?

Dopiero powtórnie przejrzawszy, spostrzegłem, że oba podpisał Wądecki. Służba u nas trwała 12 godzin na trzy zmiany. Po dyżurnej doba wolnego a w elektrowni ciężka i odpowiedzialna praca.

— Dlaczego Bukowski nie był na zmianie?

— Bo spał się jak biał. Awantury urządzał, chciał starego Pietraszka bić. O! Łobuz i tyle!

Biedrzyński splunął ze wstrętem.

— Tfu!

— Dziękuję wam — powiedziałem — postaram się załatwić szybko tę sprawę.

Uściśniliśmy sobie dłonie. — Czołem!

Zawezwałem gońca. Trochę niecierpliwie czekałem na przyścisłe Wądeckiego i zły byłem na kasjera, który przyczepił się, by mu podpisać zestawienie miesięczne wpływów.

— Cholera z tymi jego wpływami!

Pozbierałem papiery z biurka. Wszedł Julek. Od dawna mówiliśmy sobie po imieniu.

— Wzywałś mnie? — zapytał.

— Tak, Chodzi o wyjaśnienie

dłaczego podpisałeś raporty za dwie zmiany.

Julek spuścił głowę i począł nadzwyczaj uważnie obserwować wycięte ornamenty biurka, wodząc po nich palcami.

— Widzisz — szedł słowami naprzód, by za chwilę się cofnąć — tak się złożyło, że musiałem go zastąpić.

Przybrałem ton sędziego śledczego.

— Bukowski był pijany?

— Tak — odrzekł po chwili wahania.

— Do nieprzytomności?

— Tego bym nie powiedział... spał.

— Co z nim zrobiliście?

— Pietraszek zadzwonił po dorozkę. Zawieźli go do domu.

— To chyba ci wystarczy. Muszę pójść do domu — powiedział Julek do mnie. Odwrócił się i bez pożegnania wyszedł.

Kierownikiem zostałem niedawno i w tych sprawach nie miałem jeszcze doświadczenia. Zastanawiałem się, jak z Bukowskim postąpić: czy wyrzucić go samemu, czy poradzić się Zjednoczenia. Co do tego, że pijaka trzeba usunąć natychmiast, nie miałem żadnej wątpliwości. Trzeba to jednak było zrobić słusznie od strony formalnej. Z kłopotu wybrałem mnie telefon — właśnie ze Zjednoczenia. Opowiedziałem o całej historii. Dyrektor oświadczył, że właśnie dzisiaj jedzie samochodem personalny na budowę elektrowni w Siłnicy, więc po drodze wstąpi do nas i wszystko załatwi.

Około 1 w południe przyjechał. Zawezwałem wszystkich zainteresowanych. Pierwszy przyszedł Julek. Widziałem po jego minie, że jest na mnie obrażony. Gdy chwilę byliśmy sami szepnął mi do ucha: — Nie spodziewałem się tego po tobie, ty... Trochę kłopotu było z nim, gdy personalny prosił go, żeby napisać krótkie oświadczenie. Julek uniósł się honorem i napisał: „Pełniłem służbę zamiast Bukowskiego, bo był niezdolny do pracy”. Nic więcej z niego wydobyć nie było można. Na pytania, co było przyczyną niezdolności do pracy Bukowskiego, odpowiedział, że nie jest lekarzem i nie do niego ta sprawa należy.

Oświadczenia Pietraszka i Biedrzyńskiego były jednak całkowicie wystarczające. Sprawa Bukowskiego wyglądała zupełnie jasno i nie byłoby kwestii, gdyby pijak próbował się

odwoływać choćby do sądu pracy. Kilka dni Julek unikał mnie i długi czas w ogóle ze sobą nie rozmawialiśmy. Bukowski został wyrzucony dyscyplinarnie, a Julek uważał, że to on był również winny rzekomej krzywdy kolegi. Nawet tak opowiadał pracownikom elektrowni.

Miesiąc później przyszedłem na zmianę Julka. Oczekałem do szóstej, a potem zaprosiłem go na kawę do siebie.

Szliśmy wilgotnymi ulicami. Dał wiatr z deszczem i zimno oblaływało nas wilgotnymi palcami. Jezdnia pełna była zabrudzonego ziemia i końskim nawozem, mokrego śniegu. Podnieśliśmy kołnierze od płaszczy. Julek nie przejawiał wielkiej chęci do rozmowy. Milczał, tylko monosylabami odpowiadając na pytania.

W moim mieszkaniu było ciepło i przyjemnie. z bufetu wyjąłem butelkę krajowego wina, które znakomicie smakowało z kruchymi ciastkami, jakie przyniosła Irka. Była uprzedzona o zamierzonej wizycie, dlatego posiedziała z nami chwilę, przyniosła herbatę i zajęciem przy dzieciach wytłumaczyła swoje odejście.

Julek chrupał ciastka, a potem zapalił papierosa. Chwila nadawała się do zwierzeń i szczerzej rozmowy — a oto przecież mi chodziło. Fotele były wygodne (trzy miesiące czekałem w CHPD na ten model), za oknem chłabra, wiatr ze śniegiem i deszczem, a u nas zaciszny pokój, firanki i przykumione światło stojącej na biurku lampy. Oczekałem trochę, aż rozmowa się rozkręciła na „wolnych obrotach” obojętnych tematów i powoli począłem sterować ku sprawie Bukowskiego.

Sytuacja kierownika — mówiłem — jest bardzo trudna. Dyscypliny trzeba pilnować, bo bez tego wszystko by się rozlało. Nawet nie dlatego, że większość pracowników to bumelanci, bo tak przecież nie jest. Jeden wystarczy, żeby zepsuć czy przewrócić, co inni mozolnie podnosili.

Julek nie odpowiedział. Żeby czymś zapełnić dziurę w rozmowie, począłem gorliwie strzępywać popiół z papierosa.

— Ale nie zepsuł! — powiedział w końcu, odnosząc głowę.

— To co, że nie zepsuł? Z tego nie wynika usprawiedliwienie. Nie w spowodowaniu samej szkody leży przyczyna kary. Musimy się bronić nie tylko przed ludźmi, którzy katastrofę już spowodowali. To byłoby, drogi Julku, potwierdzeniem przykrego dla naszego narodu przysłowia, że „mądry Polak po szkodzie”. Nam trzeba się bronić przed możliwościami katastrofy. Dlatego należało wyrzucić Bukowskiego natychmiast, bez chwili zwłoki. To zresztą jest tylko jedna strona zagadnienia: bezpieczeństwa naszej elektrowni. Pozostaje jeszcze sprawa koleżeństwa, które niewłaściwie, co tam... zupełnie fałszywie pojąłeś.

Fałszywie! — zachnął się Julek — nie odstawiaj znawcy koleżeństwa i przyjaźni. Byłem w obozie koncentracyjnym, partyzantce, więc wiem coś nie coś o tym, jakim trzeba być wobec kolegów. Dzięki pomocy kolegów w ogóle żyję. Dlatego znam to dokładnie.

— Właśnie, że nie znalazł — rzuciłem się nieco podniecony — masz rację, że koleżeństwo „na wczoraj”, na okupację

właśnie takie było słuszne, bo trzymało przy życiu grupę pomagających sobie ludzi: w każdej sprawie, bez względu na to czy zgadzała się ona z moralnością wolnego społeczeństwa, czy nie. Nie można jednak tych samych miar przykładać mechanicznie do „dzisiaj”. Tam każdy znajdował się wobec wrogów z trupami głowami na czapkach, z pejszami i pistoletami w rękach, a tutaj jesteś wśród przyjaciół w tworzącym kolektywie. Czy ty to rozumiesz w tworzącym? To nie to samo. Tam była wówczas konieczna, ale jednak siłowa, a nie kolektywna. Ja myślę, że...

— Przystań już. Gadasz do mnie, jak belfer do ucznia — powiedział Julek z oburzeniem w głosie — za chwilę przepowiesz mi, że dostanę: ze sprawowania niedostatecznie. Przystałbyś...

Czułem, że przeholowałem.

— Widzisz Julku — zacząłem bardziej pojednawczo, — ja chciałem tobie pomóc, żebyś zrozumiał, a ty uważasz, że chcę cię drażnić. Nie zrozum mnie fałszywie. No! Napijmy się na rzetelną, prawdziwą przyjaźń.

Nalałem kieliszki. Wypiliśmy, a potem nastawiłem radio na muzykę i chwilę słuchaliśmy tanecznych dźwięków, delectując się ciepłymi, przyjemnym smakiem wina. Przez chwilę rozmowa zoczyła z zasadniczego tematu, by znów jak opiłki do magnesu powrócić do sprawy Bukowskiego. Trzeba powiedzieć, że miałem nad Julkiem zdecydowaną przewagę. Kiedyś postąpiłem podobnie jak on. Wiedziałem o wykroczeniu kolegi — i przemilczałem. Gorzej: nawet przez myśl mi nie przeszło, że obowiązkiem moim było powiedzieć o tym kierownictwu. Rozumiałem więc wahanie człowieka, który ogniowej próby jeszcze nie przeszedł.

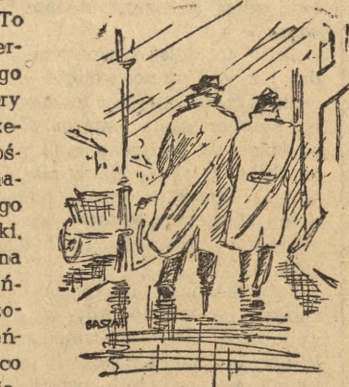
— Czy ty masz tylko jednego kolegę w elektrowni, czy też więcej?

Julek czuł ukryty sens pytania, które postawiłem po długiej rozmowie. Wiedziałem, że właściwie jest już przekonany o błędności swej postawy, a tkwi tylko w niej przez upór.

— I co z tego wynika?

— No powiedz jednak — nalegałem.

— Pewno, że mam więcej kolegów — odpowiedział po chwili. — Nie pracuje się samemu. — Widzisz Julku. Ty chciałeś być „koleżeńki” wobec jednostki, która tego nie była warta, a zapomniałeś o kolektywie. Lojalność wobec pijaka Bukowskiego była u ciebie silniejsza od lojalności wobec starego Pietraszki, Biedrzyńskiego...



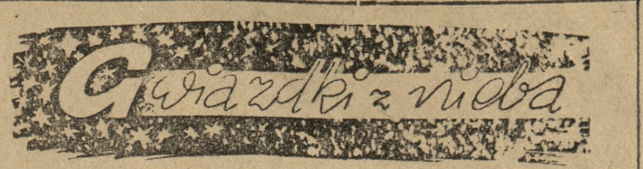
Właściwie wyczerpałem temat całkowicie. Pokonałem Julka na całym froncie i tylko dla postawienia kropki nad „i” jeszcze raz ponowiłem żądanie:

— No powiedź! Julek położył papierosa we wgłębieniu marmurowej popielniczki, wstał i długo po meksku uściśnął mi rękę.

Można było na tym zakończyć sprawę Piotra Bukowskiego.

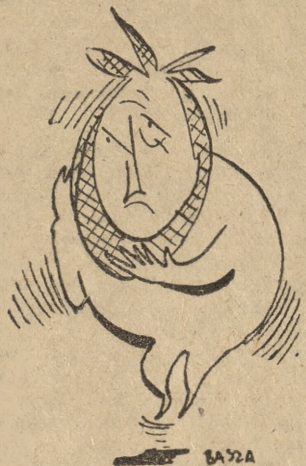


# GEOGRAFIA BÓLU ZĘBÓW



Ból zębów, chociaż w mniejszym stopniu przesładował przodków naszych, dał się jednak poznać od najgorszej strony i Chińczykom, i Babilończykom, i Gekom. Dowodem tego są zachowane z tamtych czasów liczne opisy cierpień, jakie ból zębów sprawia człowiekowi. I dziś, mimo że fotel dentystyczny w krajach reform społecznych nie jest już miejscem zarezerwowanym tylko dla bezbębnej „elity”, próchnica szerzy wśród wszystkich warstw wielkie spustoszenia. Niezależnie od położenia geograficznego, stopy życiowej, jakości spożywanych pokarmów, skłonności dziedzicznych itp. — wszędzie ból zęba jest zjawiskiem w życiu aż nazbyt częstym.

Z punktu widzenia geograficznego plaga ta nęka tak Murzynów w południowej Afryce,



Jak i Eskimosów. Choroby zębów są tutaj stosunkowo rzadsze, ponieważ jednak chodzi z jednej strony o kraje o dużym nasłwetleniu słonecznym, a z drugiej strony o połacie globu mające nasłwetlenie kontrastowo małe, nie można uznać światła słonecznego za czynnik, który by wpływał na uzębienie w jakiś sposób zasadniczy. W ogólne szukanie jasno określonych przyczyn choroby natrafia na znaczne trudności.

Najgorsze zęby na świecie posiadają Nowozelandczycy. Jedzą dużo mięsa, jajek, mleka i sera — mogłoby się więc здаwać, że na schorzenie zębów wpływa duża zawartość białka w tych pokarmach oraz brak skrobi, używanej dużo w centralnej i południowej Europie, gdzie zęby są stosunkowo zdrowe. Ale wymienieni już Eskimosi, którzy się żywią prawie wyłącznie mięsem i nie uznają potraw mącznych, mają w porównaniu z Nowozelandczykami zęby bardzo zdrowe.

Właściwych przyczyn dopatrywano się również w małej zawartości wapna w pokarmach, specjalnie w wodzie. Brak ten zaobserwowano na przykład w Nowej Zelandii. Ale na Kamczatce ludność ma zęby zdrowsze niezależnie od tego, czy zawartość wapna i fosforu w po-



karmach jest duża, czy mała. Przypuszczano, że na stan uzębienia mogą wpływać ujemnie te same czynniki, które powodują osłabienie kości. Ale i ta droga poszukiwania przyczyn okazała się mylna. Rachityzm bowiem, który w zastraszający sposób szerzy się w Indiach Północnych, mimo że atakuje prawie cały kościec, nie musi wpływać ujemnie na stan uzębienia. Mieszkańcy Indii Północnych mają też — najczęściej prawie zupełnie zdrowe zęby. Brak witamin koniecznych tak bardzo dla organizmu zwłaszcza w młodym wieku, gdy zagrożenie krzywicą jest duże, nie jest momentem decydującym.

Nie ma też decydującego znaczenia sama higiena jamy ustnej i nie można wykazać żad-

**Czy przodkowie nasi sprzed tysięcy lat cierpieli również na ból zębów? Odpowiedź na to pytanie jest nie-trudna, zwłaszcza że wiedza współczesna w oparciu o prace wykopaliskowe i ekshumacyjne pozwala poznać, obok innych cech człowieka pierwotnego, również dokładny stan jego uzębienia. Na ogół biorąc Słowianie, odżywiający się dosyć prymitywnie, mieli zęby zdrowsze niżeli inne szczepy. U Rzymian natomiast z okresu Cesarstwa, szczególnie w zdemoralizowanych zbytkiem warstwach patrycjuszowskich, stwierdzono nagminnie panującą próchnicę. Tylko 15 procent Rzymian ustrzegło się tej plagi, co i tak uznać należy za stan zadowalający.**

negu proporcjonalnego stosunku między ilością szczoteczek do zębów, a ilością potrzebnych plomb. W Południowej Afryce, w Kenii i Australii, gdzie napływowa ludność biała bardzo często ucieka się w bólach po pomoc do dentysty, ludność tubylcza pyszni się w uśmiechu blaskiem zdrowiuteńkich siekaczy.

Za bardzo popularną przyczyną choroby zębów uznany jest nadmiar słodczy w pokarmach. To prawda, że o fatalnych skutkach chrupania cukierków może przekonać się na własnych szczękach każdy Czytelnik. Niesłusznie jednak byłoby wyprowadzać stąd ogólniejszy wniosek, że z wzrostem spożycia cukru w Polsce wzrośnie z tej przyczyny ilość klientów w przychodniach dentystycznych. Niel Praktyka wykazuje bowiem, że stan uzębienia jest często lepszy w społeczeństwach, w których konsumpcja cukru jest większa. Murzy-

ni w Indiach Zachodnich, którzy z nalogu żują stale trzcinę cukrową mają doskonałe zęby.

Można by wymenił długi szereg jeszcze innych, domniemanych przyczyn, żadne jednak twierdzenie nie ostanie się wobec faktu, że nauka współczesna, poza samym leczeniem w przychodniach dentystycznych, nie znalazła skutecznego środka przeciw samej próchnicy. Przyczyny wymienione powyżej można by usunąć, gdyby wiadomym było, że powody podane są rzeczywiste. Przekonał się jednak, że tak nie jest. Jedni spożywają dużo cukru, mięsa i ım to nie szkodzi — inni odżywiali się tak samo i trzymają się nadto wszystkich przepisów higieny, a zęby, mają dużo gorsze.

Stwierdził się na samym początku, że przodków naszych zamieszkałych na wszystkich szerokościach geograficznych nękał ten sam ból, który znają tak dobrze ludzie z epoki gabi-

netów dentystycznych. Na przeszczeniu czasu mogliśmy się jednak i przekonać, że w miarę tzw. „cywilizowania” narodów pierwotnych, stan uzębienia stale się pogarszał. Nauka radziecka, która wiele czujności poświęca i temu zagadnieniu umiała wyciągnąć stąd jedynie właściwe wnioski...

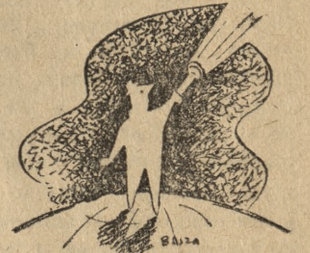
Dotychczas znane przyczyny próchnicy zębów nie są jedyną i decydującą. Na stan uzębienia wpływa bowiem w sposób zasadniczy sama konsystencja spożywanych pokarmów. Wada „cywilizowanej” kuchni jest to, że podaje potrawy zbyt rozdrobnione, rozwodnione, nadające się do spożycia bez potrzeby żucia. W ten sposób umniejsza się właściwą rolę uzębienia do minimum, co powoduje w pierwszym stadium coraz częstsze schorzenia zębów, a w dalszym rozwoju prowadzi do atrofii uzębienia — degeneracji i zaniku. Stopniowa atrofia pewnych kości, czy naoczny zanik mięśni z powodu ich nieużywania stanowi pod tym względem pouczający przykład. Dalej wniosek praktyczny, jaki stąd wysuwają uczeni radzieccy, jest prosty: celowo spożywać pokarmy, które wymagają intensywnej pracy szczęk. Nie odkrawać dzieciom twardych skórek od chleba. Żuć — te proste i praktyczne rady ważne są dla każdego — na wszystkich szerokościach geograficznych.

A. W. W.

Wiadomo, że odległości międzyplanetarnych nie mierzy się łokciem, tak samo jak odległości między dwoma różnymi punktami globu ziemskiego nie podaje się w milimetrach. W życiu codziennym przyzwyczajaliśmy się uważać za miarę odległości kilometr, którym operują nawet astronomowie, przynajmniej w tym wypadku, gdy na użytek powszechny, w języku dla wszystkich zrozumiałym, padają odległości do najbliższych naszych sąsiadów w przestworzach: na księżyc 384 400 km, na Marsa do 400 000 000 km.

Ale w skali astronomicznej są to odległości nie większe od tych, które dzielą nas może od miasta powiatowego, od dworca, czy nawet najbliższego przystanku tramwajowego. Dla pomiaru wszystkich odległości między planetami oglądanymi nawet gołym okiem, nasza zwykła miara jednak nie wystarcza. Astronomowie zaczęli więc posługiwać się jako sprawdzianem oddalenia największą szybkością, to znaczy szybko-

ścią światła. W ten sposób podano, że promień słońca dociera do nas po około 8,5 minutach, „posuwając się” ze szybkością 300 000 km na sekundę. Pociąg pospieszny, pędzący z szybkością 100 km na godzinę, dotarłby do nas ze słońca po 171 latach. Ale i szybkość światła podawana w kilometrach na sekundę okazała się miarą niewystarczającą. Jednostką miary w przestworzach jest rok świetlny, więc odległość, jaką odbywa światło w ciągu jednego roku — 10 bilionów km. Dla przykładu — światło z mgławicy gwiazd widocznej przez teleskop w konstelacji Antromedy „wędruje” do nas przez 900 000 lat. Najnowsze instrumenty pomiarowe notują odległości, wyrażające



się cyfrą tysięcy milionów lat świetlnych. Są to wielkości fantastyczne.

Firmament niebieski, który zniewala nieuzbrojone oko ludzkie do zagładania w niego, nie odsłonił przed nami od razu wszystkich tajemnic. Się oka ludzkiego powiększono jednak dzięki wynalazkowi teleskopu w 1609 roku 100-krotnie, a dzisiejszy teleskop powiększa rozmiary przestworzy 800 000-krotnie i pozwala zanotować na płycie fotograficznej obecność gwiazd, których światło dociera do globu ziemskiego tak osłabione, że dla utrwalenia go trzeba eksponować płytę fotograficzną, nieraz przez przeciąg 7 nocy.

W obiektywach teleskopu obserwujemy nie tylko same gwiazdy, ale i mgławice gwiazd. Sami żyjemy w pośród takiej mgławicy, liczącej kilkadziesiąt miliardów gwiazd i obracającej się w przestworzach wokół swej „krótkiej” osi. Światło dociera z jednego jej bieguna na drugi po 100 000 lat. Czy na skrajach tej mgławicy można postawić już kamienie graniczne na rubieży wszechświata? Oczywiście — nie. Istnieją niezliczone ilości takich mgławic i większe jeszcze ilości ciał



niebieskich, przewyższających wielokrotnie wymiary ziemi. Już nasze słońce jest 1 250 000 razy od niej większe. Ale to nie daje właściwego wyobrażenia o wielkościach samych przestworzy.

Wielkość nawet największych ciał niebieskich można porównać do rozmiarów łebka od szpilki. Trzeba je następnie ułokować w odstępnie około 65 kilometrów od siebie, a otrzymamy dopiero przybliżony obraz proporcji między wielkością gwiazd a odległością między nimi. Nawet największe ciała niebieskie, planety i słońca spadną wtedy do rozmiarów przysłowiowych „gwiazdek z nieba”. Jeśli na nie w Gwiazdkę spoglądać będziecie, to prozę bardzo, tylko nie należy zapominać, jaki je dzieli od nas dystans.

## Opowiadanie dla najmłodszych

Według N. A. NIEKRASOWA

### DZIADEK MAZAJ I ZAJĄCZKI



Chcę Wam tutaj, drogie dzieci, opowiedzieć com usłyszał od mego starego przyjaciela — dziadka Mazaja o jego przygodzie z zajaczkami. Na początku jednak trzeba Was zaznajomić z samym Mazajem, z jego wioską rodzinną i z jego przyjaciółmi.

Mieszkał ten dziadek stary w domku malutkim, oplecionym chmielem, a położonym na końcu wsi, tam gdzie już zaczynały się pola, łąki i skąd widać sine pasmo wysokiego lasu. Wioska Mazaja leżała nad rzeką potężną, która z każdą wiosną rozlewała szeroko swe wody. Zaplalała ona grunty uprawne i pastwiska. Nawet domom mogłaby zagrozić, gdyby nie to, że mądry ludzie budowali je na palach. W okresie powodzi wiosennych sterczą tam zawsze ponad powierzchnią wody tylko chaty i drzewa. Ludzie muszą jeździć łódkami. Dziadek Mazaj kochał swą wioskę rodzinną ogromnie, ale szczególnie miłością darzył przyrodę.

Ale, moi drodzy, czyż to nie rozkosz zanurzyć się w tajemnicze głębie leśne. Nabierać grzybów pełen koszyk, albo uraczyć się pysznymi malinami i poziomkami?

Tam ptak jakiś cudnie zaśpiewa, z gęstwiny wyskoczy wdzięczne sarny lub jeleni wspaniały. Stare sosny szumią majestatycznie, las jest niby cichy, a przecie pełen gwarów i szelestów.

Z dziadka Mazaja myśliwiec znakomity! Poluje on często, ale najczęściej chybła. Nie martwi go to jednak, bo w głębi duszy staruszek niechętnie pozabawia życia niewinne zwierzątka.

Najwięcej lubi stary Mazaj opowiadać o swych przy-

godach — jedną z tych opowieści, moje dzieci, opowiem Wam w takich słowach jakimi ją od staruszka usłyszałem.

„Wiosną, gdy szeroko rozlewa rzeka, źle się dzieje poczyna mieszkańcom pól i lasów. Woda groźnej, huczącej

dzie? Kepa drzew widnieje przede mną, a u jej podnóża znajduje się maleńka wysepka, którą woda zaleje za chwilę. A na tej wysepce, zgadnijcie, co ujrzałem podjechał bliżej? Siedzi na niej rodzina biednych zajaczków. Drżące, wylęknione



żywiłem rzeki zatapia ogromne obszary, a ludzie niegodziwi zastawiają sidła i wylapują bezdomne na skutek powodzi stworzenia.

Pewnego pięknego dnia wiosennego — opowiadał dziadek Mazaj — wybrałem się łodzią po drzewo na rzekę. Trzeba Wam bowiem wiedzieć, kochane dzieci, że wzbierająca woda niesie ze sobą kawały drzewa, pnie całe nieraz. Wieśniacy wylawiają je na opał.

Jadę więc łodzią, wiosłem wodę przebiegam — i co wi-

stworzonka, nie wiedzą co począć.

Podpływam czym prędzeji dalejże zaprasza zajaczki nieszczęśne do swej łódki. Ale gdzie tam!... żaden się nie rusza, tylko uszkami strzyga, ogonki wtuliły pod siebie i trzęsą się ze strachu. Ej — myślę ja sobie — ja was tu osmiele!

Łap za uszy jednego, drugiego za kark chwytam i ląduję na łódkę. I ledwom to zrobił, wysepka znikła pod wodą bez śladu. Płyniemy więc dalej a ja się naokoło baczenie rozglądam.

Wnet napotykam nowych rozbitek. O! Kepa szuwarów sterczy, a na niej zajac, słupka stanął, łapki przed sobą skrzyżował, uszka nastawił i wygląda ratunku. A tam zajaczka gruba i żółtywna na belce jak na tratwie płynie. Ledwom ją wstarczył do łodzi — tak ciężka była.

W tej chwili coś z dali nadpływa długiego... aj to pień drzewa, a na nim zajaczków z dziesięć się tuli. Zmoknięte i biedne to. Bez tohu już są prawie. A moja łódź już pełna, nieomal po brzegi.

Co począć mam teraz z tą mokrą gromadą? Przyczepiam pień z tyłu i do wsi holuję. A tam już mnie czeka na brzegu tłum cały. Dzieci i baby, krzyk, śmiechy i rwetes.

Czy myślą, że wiozę ım w darze biedne zajaczki? O nie, moi mili — Mazaj nie taki! Mijam więc szybko i spieszę ku lasom. Tam moje biedne wypuszczę klapuszeki. I ledwom łódkę do brzegu doprowadził, jak nie zaczną zajacę jeden przez drugiego skakać, jak nie ruszą przed siebie — żaden wiatr ich nie dogoni.

Na łódce jeszcze 2 tylko zostały — i te już bez siły, zmoczone, omdlałe. Co robić z nimi? Ano, cóż do domu zabrałem biedaczyny: ogrzałem, nakarmiłem, a rano skoro świt zawinięte w woreczek zajaczki wyniosłem na łąkę.

Jak wesoło i żwawo wyskoczyły zajacę moje na trawę, zamachały radośnie ogonkami, kiwnęły mi na pożegnanie uszkami i zgineły w zaroślach.

A ja —kończył opowieść dziadunio Mazaj — wracalem do domu szczęśliwy, że uratowałem życie bezbronnym zwierzątkom”.

Opracowała MARTA CHABERSKA





# CEZAR wycierał nos w togę czyli: historia chusteczki

# Rozwiany mit BRAZYLIJSKIEGO FUTBOLU

Z górą miesiąc bawiła w Europie zachodniej brazylijska drużyna piłkarska „Athletico Mineiro” z Belo Horizonte, miasta prowincji Minas, reprezentująca ponoć futbol południowo-amerykański najprędziej marki. W Niemczech zachodnich, sukcesy jej były niewielkie. Przegrywała i wygrywała z przeciwnikami niezbyt renomowanymi. Przed swoim wyjazdem z Europy przebywała w Wiedniu, gdzie rozegrała spotkanie z tamtejszym „Rapidem”, przegrywając gładko trzy do kółka. Z tym samym „Rapidem”, który w zeszłym roku odbywał tournée po Ameryce Południowej i przywiózł stamtąd mit o jakimś „brazylijskim systemie”, który okazało się nie być żadnym systemem!

Wiedeńska publiczność, zepsuta i rozkapryszona wieloma widzianymi drużynami i przyzwyczajona do dobrego poziomu gry, twierdziła zgodnie, że to nie były żadne „cuda”. Zaocznie goście, kazali sobie za swój występ dobrze zapłacić i jedyne co pokazali, to szereg błędów, gwałtownych wybuchów rozpaczy po utraconych bramkach i... pięknie brzmiące nazwiska. Wspaniały przydomek np. „Mao de Ona” — pazur tygrysa, który nosi jeden z graczy, nie wytrzymał zupełnie próby! To samo było z pozostałymi. Wiedeńscy kibice potrafią podpatrzeć szereg szczegółów. I tak np. podczas przerwy spotkania, „dopingowano” celnoskórnych graczy niczym konie wyścigowe — tajemniczymi pigułkami. Rzekomo cukrem gronowym, chociaż co dowcipniejsi twierdzili, że to był skomprimowany napój Coca Cola. Nie brakowało i takich, którzy widzieli aplikowanie graczom



Jakichś środków podniecających. Ponieważ gracze pobierają duże gaże, więc menażerowie i właściciele owych „stajni kopańców” zapewne nie mają najmniejszych skrępowań w eksploatowaniu zdrowia swoich chłopców. Nic dziwnego, że kariera „sportowa” owych cyrkowców, jest zwykle krótkotrwała!

Interes jest interesem! Kierownictwo drużyny „Athletico Mineiro” zdawało sobie więc sprawę, że publiczności wiedeńskiej jednak się coś należy i jeżeli już sami gracze nie specjalnego nie pokazują, Szeferowie ekipy — a było ich wielu — po prostu drugą ekipę wyglądali niczym trupa cyrkowa. Ja

Mistrzostwa świata w piłce nożnej, które z wiosną br. rozegrane zostały na drugiej półkuli — w Ameryce Południowej — przez drużyny państw stojących w orbicie Paktu Atlantycznego, przyniosły raczej porcję sensacyjnego huczku i dobrego biznesu, niżeli wniosły w dolarowy klimat, jakiś świeży powiew sportowego ducha. Mecze rozgrywały się z reguły w asyście oddziałów policji konnej — boisko odgradzono od widzów wysoką siatką drucianą a wycie tłumów niezadowolonych z rzeczeń sędziów, (specjalnie sprowadzonych z Europy!) przerywane były raz po raz salwami rewolwerowymi co więcej krewkich kibiców, wyladujących swoje południowe temperamenty. W finale mistrzostw Brazylija przegrała z Urugwajem. Istna klęska narodowa! Nie wiele brakowało a doszłoby do rewolucji. Podobno gabinet był zachwiany. Trener pokonanej drużyny musiał zbiec z kraju w obawie zabójstwa. Tym niemniej wieść o wspaniałej technice piłkarstwa południowo-amerykańskiego, graniczącego z akrobatyką, ba... nawet zonglerką cyrkową, przytępiła do Europy. Jednak nie na długo!..

den z nich, nie wiadomo czy trener, czy reżyser w jednej osobie, kierował meczem, nadając ton swoim graczom. Jego solowe występy były na tyle atrakcyjne i pełne ekspresji, że nawet w najgorętszych momentach spotkania, wybijały ponad całość. Przy pierwszej utraconej bramce przez drużynę brazylijską, podskoczył jak piłka gó-

mowa, chwytając się za włosy, bił się w piersi i wykrzykiwał z południowym temperamentem pod adresem niebios! Podręgnięciem bramce strzelonej Brazylijczykom, oczy wszystkich widzów zwróciły się automatycznie w stronę kierownika drużyny. Ten, jak przystało na dobrego artystę i wiedząc co jest winien patrzącej na niego publicz-

ności, — runął kompletnie zlamany na obok siebie stojące krzesło i w tragicznej pozie, z opuszczonymi ramionami — wbił oczy w ziemię. Obraz kompletnej ruiny — sylwetka pokonanego wodza!

Publiczności, która oglądała brazylijską ekipę piłkarską, egzotyczni goście nie zaimponowali a wyjeżdżając do wili radość, że drużyny europejskie nie są gorsze od reklamowanych zespołów południowo-amerykańskich. Brazylijscy piłkarze, oprócz nielicznej porcji bramek, wywieźli z Europy dobre wspomnienie o umiejętnościach piłkarskich Starego Łądu oraz... pła ze zimowe, w które musieli się w Wiedniu zaopatrzyć, z powodu nagłej obniżki temperatury. Mit futbolu brazylijskiego — co najmniej w Europie — przysłał Jaś

Katar jest chyba tak starym jak świat! Co do tego niema wątpliwości. Wprawdzie nasi przodkowie z wycieraniem nosa nie mieli zmartwienia. Jednak wraz z pierwszymi przeblaskami kultury, tworzenia się obyczajów i kształtowaniem się życia towarzyskiego, sprawy kataru i związane z tym kłopoty urosły do pewnego problemu.

Anegdota historyczna głosi, że gdy Cezar, znalazł się ze swymi legionami w Galii (Francji) i rozbił obozy na lewym brzegu Sekwany, nabrał się potężnego kataru. Zrozumiał, że nie mógł nosa wycierać w togę, gdyż stracił by na autorytecie u swoich żołnierzy. Zdecydował się więc u-



ciąć kawał ze swej togii! To dało podobno początek naszej chusteczce do nosa. Należy wspomnieć, że w okresie Cesarstwa Rzymskiego, wielkie ówczesne damy, nosiły stale ze sobą małe okrągłe chusteczki z kosztownych materiałów. Nie służyły one jednak do nosa a jedynie do opędzania się od much! Badania prowadzone w tym kierunku, wcale nie wskazują, aby noszone

wówczas chusteczki używano dla celów więcej praktycznych.

W okresie renesansu, modnym było we Włoszech posiadanie przez wysoko urodzone damy „fazoletto” — rodzaju chusteczki, z delikatnej tkaniny, często kosztownie przybranej koronkami i perłami. Panny z tzw. dobrych domów, oddawały je swoim ochmistrzyniom w opiekę, jako symbole kobiecej godności. Późniejsze generacje kobiet, zarzucały ten niewygodny symbolizm, i trzymały „fazoletto” w zawieszkach swych sukien bądź — co za skandal! — używały te chusteczki jako okrycia głowy.

Właściwe przeznaczenie owym chusteczkom wskazywał dopiero wielki humanista Erazm z Rotterdamu, pisząc swoje dzieło „Pochwała głupoty”. W jednym miejscu mianowicie wskazuje: „jeżeli już się jest szczęśliwym posiadaczem chusteczki, powinno się ją także używać!” Przebija w tym zdaniu sarkazm i ironia zablakana w światku kupiecko-mieszczanek. Ówczesni mieszczanie mieli bowiem ambicje wygładać co najmniej jak sam król. Chusteczek posiadali na tużyni, używając je jako nakrycia głowy, szale a nawet jako krawaty. Często składały się na nie całe fortuny — jeżeli zrobione były z cienkiej jak pajęczyna koronki.

Duży umiar w tym zakresie zaprowadziła reformacja, która w „Magdeburckim Kodeksie Ubioru” z r. 1583, stawia pewne granice temu chusteczkowemu szaleństwu. Mianowicie grożą w owym czasie, zaręczonym

## Kurz siada na meblach kosmosu

W historię istnienia meteorów nie chcieli wierzyć „nowożytni” uczeni jeszcze przed mniej więcej stu laty, podczas gdy ok. 2600 lat wcześniej, bo w okresie budowania piramid egipskich, meteority uznawano za doskonały materiał budowlany. Potężny blok meteorytowy był włączony między kamienie piramidy Cheopsa (dziś leży w Muzeum Brytyjskim). Syenna „żelazna kolumna” w Delhi, świętość Hinduistów także jest zrobiona z materiału, który „spadł z nieba”, z żelaza o wysokiej zawartości niklu.

Dopiero fizyk Chladni na początku XIX wieku zdołał przekonać swych uczonych kolegów, że po całej kuli ziemskiej leżą rozsiane liczne meteority, którymi warto się zająć.

Rzecz jasna, że nie wszystkie meteority, które wzbogaciły naszą kulę ziemską (a obliczono, że rocznie wskutek meteoritów waga naszej kuli ziemskiej zwiększa się o 7,5 tony!), są tak duże, że warto brać je do ręki. Inne za to są takie, że ręką ich nie udźwigniesz. Choćby w Youndegin w Australii. Bryła wartościowego żelaza miała tam niemal 1000 kilogramów. Wielki zaś blok z Melvillea, z którego początkowo Eskimosi odtupowali części i wykuli z nich świetne noże, waży 40 000 kg! „Troskliwie” zabrano go do Nowego Jorku. Nawet 50 000 kg wazyący meteorit jaki spadł w Bacubirito w Meksyku jest okruczem wobec



prawdziwych kolosów, jakie zagrzebały się głęboko w skorupę ziemską.

Przed około stu latami podróżnicy po Meksyku stwierdzili, że w tak zwanym Diabelskim Kanionie w Arizonie znajdują się niemal okrągły krater, którego obwód mierzy półtora kilometra, a głębokość sięga 150 metrów. W jego pobliżu znajdowano liczne odłamy znakomitej stali chromowej. W tradycji Indian krater ten nazywano wyraźnie „dziurą, w którą spada gwiazda”. Kiedy do tej „dziury” zabrali się fachowcy, stwierdzili, że na głębokości

570 metrów pod dnem krateru leżą olbrzymie bloki, ważące wiele milionów ton, zawierające wysoki procent niklu i platyny. Wartość tego skarbu oceniono tak wysoko, że postanowiono dobrać się do niego i wydobyć.

Jeden z największych znanych meteoritów spadł 30 czerwca 1908 roku ok. godziny ósmej rano w kamienistej okolicy Tunguski na Syberii. Okolica jest niemal niezamieszka, pokryta olbrzymimi lasami. Tunguski pilnują tam wielkich stad reniferowych, a najbliższą większą miejscowością jest Kirensk. Owego ranka, ludzie, którzy byli świadkami upadku meteoru, usłyszeli silny szum powietrza oraz zobaczyli szybko pędzącą czarną chmurę, prześwietloną pożarem. Kiedy owa pędząca masa zderzyła się z ziemią, nacisk powietrza był tak wielki, że nieliczni obserwatorzy zjawiska zostali daleko odrzuceni. Stracili oni przytomność. Pamiętają zaś, że ich ostatnim wrażeniem była obawa, że zostaną spaleni wielkim żarem. Wstrząs zderzenia był tak wielki, że na stracji kolejowej, odległej od miejsca upadku o ok. 700 kilometrów w Kańsku wstrzymano wyjazdy pociągów sądząc, że zdarzyła się jakaś potężna katastrofa którą należy zbadać. Sejsmografy Irkucka zanotowały wstrząs ziemi. Nie-

zwykły napór fal powietrza był odczuwalny jeszcze nad Łabą! Uczni z Moskiewskiej Akademii Umiejętności, którzy przyjechali zbadać sprawę na miejsce orzekli, że meteor, nad którym zawarła się wielka bagnista jama, ma wagi około pół miliona ton!

W nowszych czasach lotnicy niejednokrotnie w swych długich lotach nad ziemią spostrzegają liczne kraterki, które są śladami spadłych meteoritów. Nic w tym zresztą dziwnego. Przecież dla astronomów nie jest rzeczą nową fakt, że każdego dnia przez atmosferę, otaczającą nasz niewielki glob uświuje przelecieć około 10 milionów różnej wielkości odłamków gwiazd. Większość z nich spala się bardzo prędko. Inne zdołają tak się zbliżyć, że gorącym okiem możemy je zauważyć jako błyszczącą „spadającą gwiazdę”. Staranne zaś obliczenia każą wierzyć, że dzięki spadającym i docierającym do



skorupy ziemskiej „gwiazdom” waga naszej ziemi powiększa się o 75 milionów ton w każdym milionie lat. (Jak widzieli astronomowie operują niewielkimi okresami!)

Skąd biorą się owe odłamki gwiazd? Czyżby w kosmosie zdarzały się jakieś katastrofalne zderzenia, których skutkiem są rozbita „pojazdów” gwiazdnych? Nic podobnego! Po prostu we wszechświecie, podobnie jak nasza ziemia krąży po swojej drodze, tak też krąży „chmury pyłu kosmicznego”. A że ziarna tego pyłu są nieco większe od ziaren pyłu, który osiada na naszych meblach, czyż można się dziwić. Przecież mieszkanie i meble kosmosu są również nieco większe... (Z. B.)



i zaślubionym, ogromne kary zarówno za życia jak i po śmierci, jeżeli posiadane przez nich chusteczki są droższe aniżeli jeden talar. Chusteczki pozostałej ludności, mogą kosztować jedynie pół talara a służ i pospółstwa zaledwie ćwierć.

Z chwilą powstania pierwszych manufaktur, chustki stawały się zaczęły coraz więcej popularnymi. W Lyonie (Francja) założono najwcześniejszą ich seryjną produkcję — lecz już nie z jedwabiu, czy innych kosztownych tkanin, a z bawełny oraz z lnu. Mimo to, nie zdawano jeszcze sobie dobrze sprawy z ich właściwego przeznaczenia.

Jeden z pierwszych w ogóle kodeksów towarzyskich, (wydany w Lozannie w r. 1726) zaleca stanowczo, aby „nigdy nie dmuchać w chusteczki jak w trąbę; a jeżeli już się jej używa, zakrywać sobie należy oczy, odwrócić się w miarę możliwości i przeprosić nadto towarzysztwo obecne, niskim ukłonem!”

W Francji np. dopiero Wielka Rewolucja spowodowała, że chusteczka — podobnie jak przyszłowiowa tabakiera — zaczęła wiernie służyć nosowi. Na przełomie wieku XVIII — w okresie rządów Napoleona, nastąpiła era rozkwitu przemysłu chusteczkowego. Stało się to w związku z nagminnym i niezwykle powszechnym zwyczajem zazywania tabaki. Z tą chwilą chusteczki nabrały prawa obywatelstwa i jak dotąd wiernie służą nam wszystkim. Jot



Krater meteorytu